PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austryi: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt." dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT" Kraków, ulica Bonerowska № 12.
CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronice poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30 Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na I-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.
Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcyi 80-75, redaktora 68-75, Administracyi 73-22.
FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.
*Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwart.*

# ŚWIAT

Rok VIII. № 37 z dnia 13 Września 1913 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Redaktor: Stefan Krzywoszewski
Warszawa, ulica Zgoda № 1 róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12



# ZAGADKA RAKUSKA.

Wobec zmian, zaszłych na karcie politycznej Bałkanu, przypominają się słowa francuskiego historyka: „W dniu, w którym będzie można mniemać, że kwestya wschodnia została rozwiązaną, pojawi się na porządku dziennym nowa kwestya: austryacka". Warunkom dla sprawdzenia tej przepowiedni niezupełnie jeszcze stało się zadość. Mimo olbrzymiego kroku naprzód, jakim może się wykazać odwieczne dzieło „wypędzania turków z Europy", mimo rozczłonkowania mozaiki macedońskiej i rozebrania jej pomiędzy mniej lub więcej prawych spadkobierców dogasającej potęgi otomańskiej, mimo trwałego uspokojenia się walecznych arnautów, poszukujących w tej chwili, komuby włożyć na skroń domniemaną koronę Filipa i Aleksandra, kwestya wschodnia nie wykazuje skłonności do ustąpienia z wokandy i przysłowiowy kociołek bałkański ma wszelkie szanse funkcyonować jeszcze przez pewien czas, ku strapieniu tego zbiorowiska interesów i egoizmów, które się zwie Europą. W krwawym trudzie na Bałkanach porozwiązywane zostały jedne węzły, ale nawiązały się inne, nowe. Upokorzona Bułgarya pielęgnować będzie troskliwie swą słuszną żądzę odwetu. Półksiężyc, strącony z minaretów Adryanopola, uczynił pouczające doświadczenie, że można przy sprzyjających okolicznościach powrócić tam, skąd się zostało wyrzuconym. Wolno oczekiwać także, że monarchowie z Belgradu i Cetynii, zasileni znacznym przybytkiem poddanych, w myśl odwiecznej prawdy, iż z jedzeniem wzmaga się apetyt, tem pilniej zechcą przemyśliwać nad przyszłem zaokrągleniem swych dzierżaw i że wzmagać się będzie tęsknota ich ku modrym falom Adryatyku. Ten kompleks niedokończonych porachunków na Bałkanie gwarantuje jeszcze na czas pewien żywotność kwestyi wschodniej. Temsamem nie nadszedł jeszcze moment dla „kwestyi austryackiej", w sensie, jak to rozumiał Albert Sorel. Stara monarchia Austro-Węgierska stoi nieporuszona. O „rozbieraniu" jej i dzieleniu się jej dostatkami mogą narazie rozprawiać conajwyżej politycy ze Związku prawdziwie rosyjskich ludzi, których zdobywczość, jak wiadomo, rośnie z każdym nowym, obficie zakropionym bankietem.

Niemniej zmiany bałkańskie postawiły państwo Habsburgów w położeniu nowem i wcale niełatwem, a zagadka przyszłości rakuskiej, jedna z najciekawszych, jakie nasuwają dzieje współczesne, może dziś bardziej, niż kiedykolwiek, intrygować umysły polityczne. Dokoła tej zagadki snuje się książka, która powstała pod wpływem chwili, lecz istotną treścią swą sięga daleko poza bieżące konjunktury*).

*) Konstanty Srokowski. Upadek imperyalizmu Austryi w związku z ewolucyą systemu europejskiego przed wojną bałkańską i po niej. Lwów, 1913.

Oparte o mocną konstrukcyę faktów, wiązanych nienaganną logiką, głęboko przemyślane, na wielki, historyczny kąt patrzenia nastawione dzieło Konstantego Srokowskiego domaga się najwyższej uwagi ze względu na donioślość przedmiotu i na trafną, przenikliwą jego ocenę. Wybitny polityk i publicysta, podejmując zagadnienie bytu Austro-Węgier w związku z ostatniemi wypadkami, stara się wgryźć pod powierzchnię tych wypadków i wynieść stamtąd odpowiedź na pytanie: jakiem korytem musi popłynąć strumień życia monarchii naddunajskiej, jeśli monarchia ta ma zachować sens dziejowy, a więc trwać nadal?

* *
*

Na rozległem tle politycznych antagonizmów w Europie kreśli Srokowski bilans ostatniej wojny dla interesów mocarstwowych Austro-Węgier. Bilans to gruntownie niewesoły: „Pod Kirkkilissą i Lule Burgas, pod Kumanową i Monastyrem runęła nietylko Turcya europejska. Rozsypał się tam w gruzy cały system polityki austryackiej na Bałkanach, zginęły jej najpiękniejsze możliwości, rozpłynęły się razem z dymem krwawych pobojowisk jej najśmielsze nadzieje i marzenia". Droga do egiejskiego wybrzeża, ku której z Burgu wiedeńskiego spoglądano pożądliwie, oddawna została dla oręża austryackiego zamknięta. Usadowili się tam inni, na długo, zapewne na zawsze... W obszernym wywodzie poddaje Srokowski krytyce zagraniczną politykę austryacką, która od lat stu przygotowywała ten smętny finał. Polityka ta najeżona była błędami, dziedzicznie była obciążona krótkowidztwem. Logika położenia geograficznego parła monarchię habsburską ku ujściu Dunaju i na Bałkan, wewnętrzny skład etniczny czynił z niej naturalną dziedziczkę rozpadającego się słowiańskiego państwa otomanów. Zarysowały się tu perspektywy zupełnie zawrotne. Kierunek ten został zmarnowany dla chimery panowania we Włoszech i kierunkowi temu, w nowszych czasach, stanęła wpoprzek niezdolność do wysnucia właściwych wniosków z faktu, iż Austrya jest i była zawsze państwem narodowo niejednolitem.

Z dziesięciu różnych narodów zlepiona, Austrya nie mogła i nie może wytworzyć pojęcia interesu ogólno-narodowego, który wypełniłby jej politykę zagraniczną, jako treść najwyższa. Za czasów absolutyzmu, wobec małego jeszcze uświadomienia poszczególnych narodowości, rolę tę spełniał zastępczo interes dynastyczny. Możność posługiwania się nim znikła atoli z ostatecznym upadkiem absolutyzmu. Wprowadzenie systemu konstytucyjnego w Austryi, jak trafnie zauważa Srokowski, było czemś więcej, niż samą tylko zmianą formy rządzenia. Było ono w tem państwie gruntownem przeistoczeniem jego natury: z centralistycznej w federacyjną, przynajmniej w zawiązku. Austrya, stawszy się konstytucyjną, musiała dążyć logicznie do typu mocarstwa zrzeszonego. Ta naturalna dążność rozwojowa została pogwałcona i spaczona. Zastąpiono ją surogatem federacyi, podzielono państwo na dwie części, w tym celu wszakże, by w każdej z nich tem lepiej umocnić zasadę — centralistyczną, opartą na uprzywilejowaniu dwóch najsilniejszych narodów: niemców i węgrów. System dualistyczny był ciężkim błędem i stał się punktem wyjścia dla błędów dalszych. Wytworzyła się stała podstawa do niezadowolenia i fermentu w obu połowach monarchii. Pod przewagą niemiecką, pośrednio lub bezpośrednio, znaleźli się czesi, słoweńcy, polacy. Gorzej ułożyły się stosunki po drugiej stronie Litawy. Imperyalizmowi wielko-madziarskiemu rzucono na łup słowaków, chorwatów, serbów, stwarzając podatny grunt dla dążności odśrodkowych, które musiały zaznaczyć się, zwłaszcza na południu, o miedzę od niepodległych państw słowiańskich, na Bałkanie. Gdy także polityka wobec serbskiego sąsiada, prowadzona w interesie agraryuszów węgierskich, zdołała wykopać przepaść między nim a państwem Habsburgów, zdolność Austro-Węgier do ekspansyi na Bałkanach zeszła do minimum: została sparaliżowana od wewnątrz i od zewnątrz. I zanim błędy te mogły być naprawione, zanim państwowa myśl austryacka mogła zwrócić się na południe z nowym arsenałem środków, zwycięska koalicya bałkańska zatrzasnęła przed nią wrota ku ponętnej dolinie Wardaru.

Austro-Węgry stoją na ruinie swych wielko-mocarstwowych, imperyalistycznych nadziei. Zamknęła się przed niemi jedyna droga zdobyczy terytoryalnych. Zacisnęła się obręcz, opasująca ich własne dzierżawy. Dobry sąsiad rumuński, urósłszy we własnych oczach po tanich i łatwych sukcesach, będzie, niezawodnie, sąsiadem coraz mniej pewnym i coraz pożądliwiej będzie spoglądał ku milionom swoich jednoplemieńców siedmiogrodzkich. Dwakroć większa i silniejsza Serbia, która niewątpliwie przestanie być w Wiedniu tematem dla operetek, będzie tembardziej teraz groziła od południa. Tendencye odśrodkowe wewnątrz państwa, u jego południowych granic, przybiorą na sile. To wszystko nie jest wesołe... Nie należy jednak zbyt pospiesznie mówić o spadku po Habsburgach. Niewiadomo nawet, czy „raz na zawsze", czy w szczególności we wszelkiej postaci, uniemożliwione zostało kontynuowanie austryackiej „misyi historycznej" na wschodzie. Warunki zewnętrzne, dziś niekorzystne, mogą uledz zmianie, nawet bez szczególnych zasług wiedeńskich mężów stanu. Zdawało się,

że „raz na zawsze“ stanęła na południu monarchii koalicya miliona bagnetów, gotowa uderzyć w nią każdej chwili, tymczasem po nowem, solidarnem „mocarstwie bałkańskiem“ zostało już tylko wspomnienie. Mówiąc o przyszłych losach Austryi, a w szczególności o stosunku jej do Bałkanów, ku którym nie umiała dotąd iść skutecznie, trzeba pamiętać, że w procesach historycznych ostrożnie musi być stosowany wyraz: nigdy.

Srokowski przypomina, że w swoich „Myślach i wspomnieniach“ Bismark niejednokrotnie wskazywał Austryi Bałkany, jako naturalne terytoryum jej dalszego rozwoju i rozrostu mocarstwowego, szkicując zarazem genialną w swej prostocie drogę do tego celu, na którą w Wiedniu— nie wstąpiono. Ekspansya austryacka na wschód miała, według niego, polegać nie na unifikacyi, posługującej się przymusem, ale na godzeniu sprzecznych interesów przez wciąganie ich w jeden system gospodarczo-polityczny, któryby wszystkim jego częściom składowym dawał takie korzyści, aby utrzymanie go stało się wspólną wszystkich potrzebą. Najbardziej skuteczną formę takiego systemu upatrywał Bismark w *federacyi,* której poszczególni członkowie zachowaliby swobodę rozwoju narodowego, nawet możność dogodzenia swym ambicyom państwowym przez posiadanie własnych dynastyi, któraby jednak, z drugiej strony, stanowiła całość polityczno-militarną i gospodarczą. Miała to być zatem kopia ustroju Rzeszy niemieckiej. Plan olbrzymi i olśniewający. Wykonanie go, stworzenie takiej rzeszy państw naddunajskich—zauważa Srokowski — byłoby najświetniejszem rozwiązaniem „kwestyi austryackiej“ i łączącej się z nią organicznie kwestyi równowagi europejskiej, a zarazem otwierałoby przed tą rzeszą perspektywy rozwoju zupełnie niewymierne.

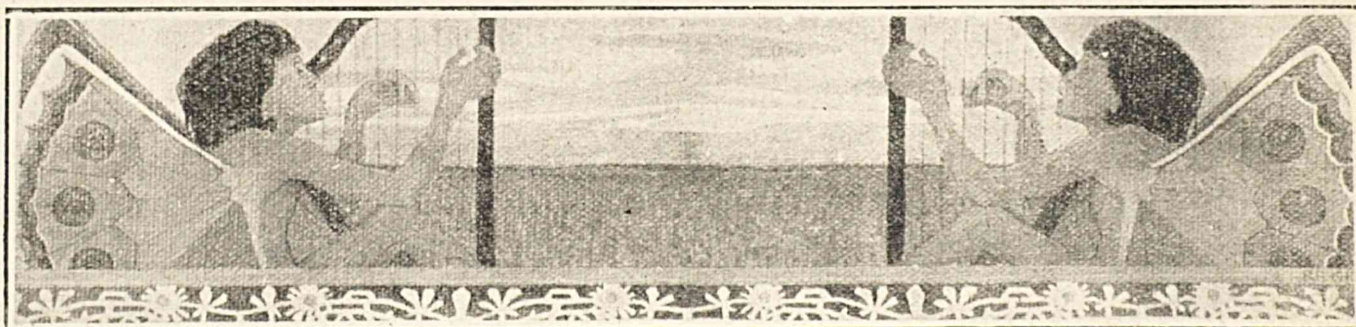
Ta możliwość, mimo wszystkie błędy polityki austryackiej, nie została bynajmniej przekreśloną. Owszem, chwila bieżąca wysuwa ją na porządek dzienny, jako dyrektywę przyszłości. Po wypadkach ostatnich stanęła monarchia austryacka na rozdrożu dziejowem. Stoi przed nią pytanie: Czy ma, jako państwo niemiecko-madziarskie, szarpane na kresach irredentą ludów niezadowolonych, kurczyć się i zanikać, czy też w śmiałem dążeniu do nowych form bytu, w stopniowem urzeczywistnianiu idei związku wolnych narodów, szukać odrodzenia i owych „niewymiernych perspektyw“, o których mówi polityk polski?

* *
*

W kołowrocie wielkich wypadków, które przewaliły się przez rok ubiegły, ustalony został niezbicie i nieodparcie — stwierdza Srokowski — fakt jeden: upadek imperyalizmu Austryi dualistycznej, Austryi niemiecko-madziarskiej. Sen o Salonikach, wziętych wbrew woli narodów bałkańskich, został ostatecznie prześniony. Okazało się, że imperyalizm austryacki, opierający się na uprzywilejowaniu jednych narodów i upośledzeniu drugich, jest niemożliwością. Zaprzeczył on sam sobie, kiedy życie postawiło go przed próbą ognia i żelaza. Pozostaje jeszcze otwarte pytanie drugie: czy Austrya inna, nie dualistyczno-centralistyczna, ale „rozluźniona“ i tem właśnie rozluźnieniem swem silna, nie spełni tej misyi, do której niezdolnym okazał się jej imperyalizm. „Wśród dwóch kolosów mocarstwowych, między potężną Germanią a rozmiarami i możliwością gigantyczną Rosyą — sądzi Srokowski — Austrya, jako związek wolnych i równoprawnych narodów małych i młodych, ma racyę bytu. Taka Austrya jest nawet dziejowo konieczną... — potrzeba jednak, aby matką stała się dla tych wszystkich narodów, a nie macochą kapryśną i niesprawiedliwą“. „Poprawa“ taka, łatwiejsza, coprawda, na papierze, niż w życiu, nie jest niemożliwą, a stara monarchia habsburska złożyła już częściowo dowody, że pod ostrym biczem konieczności potrafi się poprawić. Taki bicz śmiga ponad nią w tej chwili, i, być może, utoruje drogę prawdzie, że w państwie, w którem ludy słowiańskie tworzą większość przeważającą, system, zapewniający przewagę polityczną mniejszościom niemieckiej i madziarskiej, nie da się na długą metę kontynuować bez zbyt groźnych niebezpieczeństw, że warunki obecne wymagają gruntownego przekształcenia systemu państwowego na taki, aby interes żywotny całości był równocześnie interesem wszystkich, choćby najmniejszych jej części składowych.

Mimo swego posępnie nastrajającego tytułu, książka Srokowskiego nie jest „requiem“, odśpiewanem nad przyszłością Austryi. To piękne, bystre, pouczające dzieło polskiego polityka jest tylko dyagnozą ciężkiego niedomagania organizmu, zdolnego jeszcze do odmłodzenia się i do życia, a może nawet do czynów wielkich i przyszłości świetnej. Polscy pasierbowie Austryi muszą życzyć jej tej błogosławionej odmiany i pracować nad jej urzeczywistnieniem, dopóki — nie mają nic lepszego do wyboru...

*Ch.*



Bronisław Bartel. Winieta.

## *Eros śpiący.*

*Przekład z Anakreonta.*

*Eros usnął na tarczy i śni sen wojenny,*
*Marzą mu się cięciwy złote i kołczany,*
*A w obozie po bitwie szumią roztruhany,*
*Ponad polem zwycięstwa wstaje świt promienny...*

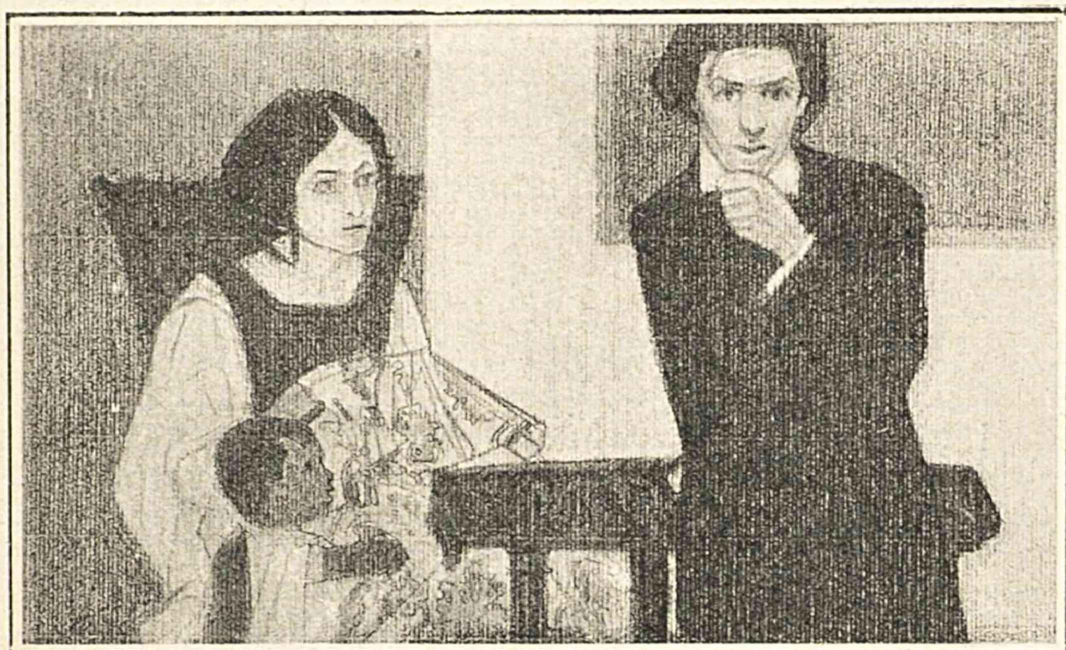
*Eros usnął... o tarczę oparł senną głowę...*
*Pił wino... było mocne... czara leży pusta...*
*— Przyśniły mu się twoje usta purpurowe,*
*Twoje usta, dziewczyno, młode twoje usta!*

*Jan Pietrzycki.*





Bronisław Bartel. Motywy zimowe.



Bronisław Bartel. Rodzina.




Bronisław Bartel. Portret chłopca.

# Nasi artyści.

## Bronisław Bartel.

Młody artysta ma dopiero lat 25, talent i całą przyszłość przed sobą. Przyszłość tem jaśniejszą, ponieważ, wbrew zapatrywaniom wielu swych braci po fachu, zaczął od tego, że się pilnie uczył swej sztuki. Już jako uczeń Akademii Krakowskiej (pod prof. Axentowiczem i Ruszczycem), zdobył kilka nagród i wzmianek pochwalnych. Prócz tego wystawiał swe dzieła w Krakowie, Poznaniu, Wilnie — i wreszcie w Warszawie, gdzie jego krajobrazy i studya zdobyły sobie zasłużone uznanie, tak w „Salonie" 1912, jak na ostatniej wystawie Wiosennej w Zachęcie. Pomimo jednak powodzenia i wawrzynów, zdobytych na drodze swej karyery, jest Bartel w tym wieku, kiedy wolno jeszcze stać na przełomie, zastanawiać się i szukać: który rodzaj sztuki najlepiej odpowie wrodzonemu usposobieniu i temperamentowi. Jak dotąd, artysta zdaje się wahać pomiędzy sztuką czystą a stosowaną. Kto wie, czy ten ostatni kierunek—będący zresztą, wbrew zardzewiałym i zaśniedziałym poglądom, równie „czystym", jak wszelkie inne — nie zniewala go najsilniej. Dowodem tego bardzo nieraz szczęśliwie w tej specyalnej technice przeprowadzone wycinanki krajobrazowe, kilka kompozycyi (np. obecny cykl „Z maskarady" w Zachęcie), nawet impresye portretowe, skłaniające się często ku stylowi dekoracyjnemu. Wspomniany cykl dwudziestu kilku obrazów, wystawiony obecnie w Zachęcie, pomimo, że i w nim znajdzie się kilka dobrze ujętych i z precyzyą przeprowadzonych kompozycyi, nie charakteryzuje dosadnie ani tendencyi zbiorowej, ani natury artystycznej młodego malarza. Jest to zbiór, nie tworzący całości. Dlatego woleliśmy zaczerpnąć szereg kompozycyi Bartela wprost z jego pracowni. Tych kilka reprodukcyi świadczy, że artysta, pomimo pewnego niezdecydowania co do ogólnego kierunku, posiadł już w technice, w sposobie wyrażania się, swój własny indywidualizm, oparty na dobrych wzorach, niezapominający jeszcze o szkole, którą przeszedł, a jednak nie naśladujący nikogo, odtwarzający wrażenia swe w sposób własny i bezpośredni. Kompozycye zalecają się przytem pewnego rodzaju jasnością i prostotą, nawet wtedy, kiedy wkraczają w świat fantazyi. Sprawia to rzeczywistą przyjemność. Dlaczego? Bo przypominamy sobie mimowoli, ilu-to malarzy, zwłaszcza u nas, nadużywało fantastycznego tematu w ten sposób, aby go wyrazić w technice tak zawikłanie, niezrozumiale i ciemno, że to im równocześnie służyło do sprytnego pokrycia zupełnej nieumiejętności technicznej.

*A. B.*



Bronisław Bartel. Autoportret.

Z dzieł zakupionych do rozlosowania przez Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

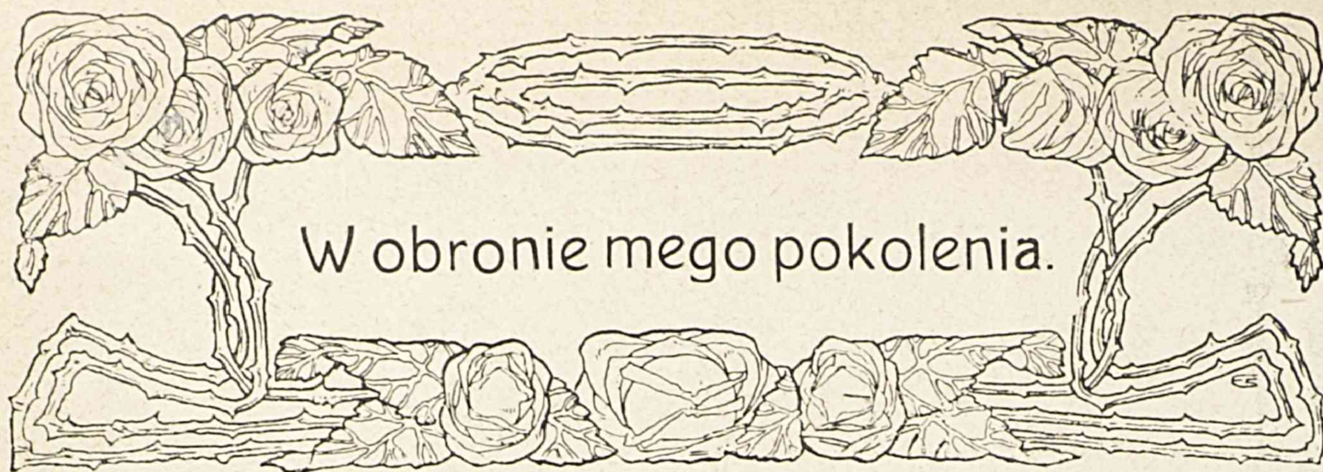
Teodor Ziomek. Chata w lesie.



Czesław Tański. Studyum.



Prof. Leon Wyczółkowski, Studyum ze wsi.




## II.
## Demokratyzm a romantyzm.

Po klęskach ostatniej ruchawki zaczęły się u nas przekształcać warstwy mieszczańskie. Na bruk miejski chroniły się wtedy ze wsi rozbitkowie i całe rodziny, unosząc resztki mienia, ocalonego z pogromu.

Dlatego też w ostatnich czterech dziesiątkach lat zeszłego stulecia mieszczaństwo warszawskie, a poczęści w Królestwie, wchłonęło w siebie pierwiastki kultury szlacheckiej. Wynikły stąd cechy, odróżniające naszą burżuazyę od europejskiej i od tak zwanego galicyjskiego „kołtuństwa“.

Z drugiej strony ideologia tej warstwy, która dotychczas gra główną rolę w naszem życiu społecznem, oraz wogóle umysłowość klas inteligentnych w Królestwie (a poczęści na Litwie i na Rusi) urabia się w tej dobie przeważnie pod wpływem prasy postępowej—w związku z błogosławionem działaniem sił intelektualnych, wytworzonych przez Szkołę Główną.

W obrazach literatury nowszej, kreślonych przez Chmielowskiego, Feldmana i Ant. Potockiego, brak dotąd wymownej charakterystyki tego wpływu, obejmującego szerokie kręgi życia i pracy. Wychowańcy Szkoły Głównej rozbiegli się po kraju i poza krajem, jak gromadki gońców, z pochodniami, zapalonemi u wielkiego ogniska nauki polskiej.

Łącznie z tem warto także silniej wydobyć na wierzch zjawisko dotąd niedocenione, które jednak sprawdziłem naocznie przed ćwierćwiekiem. Pod wpływem nowych prądów, pism i wydawnictw podnosił się szybko poziom przeciętnej inteligencyi w kraju, przy zdrowem wyrabianiu się dążeń decentralizacyjnych na prowincyi. Przekonałem się o tem wielokrotnie w moich artystyczno-literackich wędrówkach. Na zebraniach lekarzy, adwokatów i przemysłowców w miastach prowincyonalnych, w salonach wiejskich, nawet w kancelaryach prowentowych, toczyły się gorące rozprawy i dysputy o zagadnieniach społecznych, naukowych, ekonomicznych, nawet literackich. Sprzeczano się na temat wydarzeń i reform społecznych, rozwoju przemysłu i handlu, nowych książek, dzieł literackich, a na dnie tych rozmów i sporów wyczuć można było obywatelską czujność i troskę o dobro kraju. Politykomania nie zagważdżała, jak dawniej, mózgów—nie snuto przędziwa złudnych nadziei i chaotycznych kombinacyi, a prasa postępowa podsycała ten zdrowy i żywotny ferment umysłów.

P. Antoni Potocki w cytowanej poprzednio książce „Literatura polska współczesna“ nie dostrzega prawie pracy twórczej tych czynników. Podnosi natomiast przesadnie (jak mu to już wykazano) znaczenie i wpływ czasopisma „Głos“ i zgrupowanej koło niego w r. 1886 i latach następnych gromadki istotnie dzielnych i utalentowanych pisarzy. (Tom II, str. 229—234).

Według mnie, pisma obozu pozytywnego grały ważną rolę w przemianie pojęć i podniesieniu kulturalnem demokracyi *mieszczańskiej*, a „Głos“ rozpoczął nową faze uświadomienia i rozwoju pojęć demokracyi *ludowej*. Ruchliwe z początku i żywotne pismo to nie mogło przetrwać dłużej, a jego hasło podporządkowania interesów wszystkich warstw interesom ludu straciło kredyt, jako importowana ze wschodu doktryna. Pracę w tym kierunku prowadzili potem na gruncie praktycznym wszech-polacy i demokracya narodowa. Ale, bezwątpienia, „Głos“ dał pierwszy pobudkę do rozpoczęcia na szerszą skalę tej akcyi, która przetwarza dawniej martwe zbiorowiska sił biernych na żywioł rodzimy mocą społecznego uświadomienia.

Niesłusznie p. Potocki podnosi przelotną polemikę dziennikarską „Przeglądu“ z „Głosem“ do znaczenia walki obozów. (Tom I, str. 231). Była to krótka strzelanina wśród konkurencyjnych harców o prenumeratę. Przy tej sposobności wychodzi na jaw szydło z worka, ukazuje się widocznie ostrze animozyi literackiej. P. A. Potocki podnosi do nadmiernej potęgi wartość „Głosu“, którego duszą był M. Potocki (Maryan Bohusz), istotnie, jedna z najpiękniejszych u nas postaci literackich, pisarz śmiały, ofiarny, z charakterem, siłą przekonań. Antypatya, którą p. Potocki Antoni żywi dla pozytywistów, czerpie swe źródło z jakiejś mętnej rozterki literackiej. Głównym jednak przedmiotem niechęci jest protagonista obozu i najczelny jego wojownik, Aleksander Świętochowski, którego pracę publicystyczną i twórczą p. A. Potocki stara się najniekorzystniej przewartościować. Obniża niesłusznie nawet jego dramaty, które są oryginalną i jedyną u nas próbą przedstawienia zagadnień życiowych w świetle współczesnej filozofii. Nie dostrzega głębi historyozoficznej, ani poetycznych piękności „Duchów“, a, wyszarpawszy z tekstu kilka frazesów, odmawia zalet stylowych jednemu z najświetniejszych cyzelerów mowy naszej. A jednak Aleks. Brückner twierdzi, że Świętochowski „przypomina pierwszorzędnych stylistów świata“, i z powodu niektórych ustępów „Aspazyi“ pisze: „Czytając te rzeczy, a znając opinię o nich naszego ogółu, wspomnisz mimowoli o smętnej paraboli ewangelicznej, o rzucaniu pereł!“ („Dzieje liter. polskiej“, wydanie II, tom II, str. 449 — 450).

Zrozumiałem jest, dlaczego p. Teodor Jeske-Choiński, jako rycerz konserwatyzmu i reakcyi, w swojej książce, poświęconej pozytywizmowi, chce pognębić cały obóz i z kontuszowem zacięciem macha polemiczną karabelą. Ale w książce p. Ant. Potockiego nie widać ideowej przyczyny, tłómaczącej szaloną stronniczość sądów, tych syków niechętnych, które się powtarzają nieustannie w licznych nawiasach, zboczeniach i aluzyach. W bystrym potoku stylu i wymowy, płynącym przez karty tej księgi, nie znalazłem zasadniczego poglądu na świat, ani wewnętrznej konieczności, którąby w imię umiłowanych haseł kazała kochać, bronić, sądzić, albo potępiać. Nie odczułem tej siły moralnej, jaką najstronniejszym nawet sądom daje moc wewnętrznego przekonania i tężyzna pisarskiego charakteru.

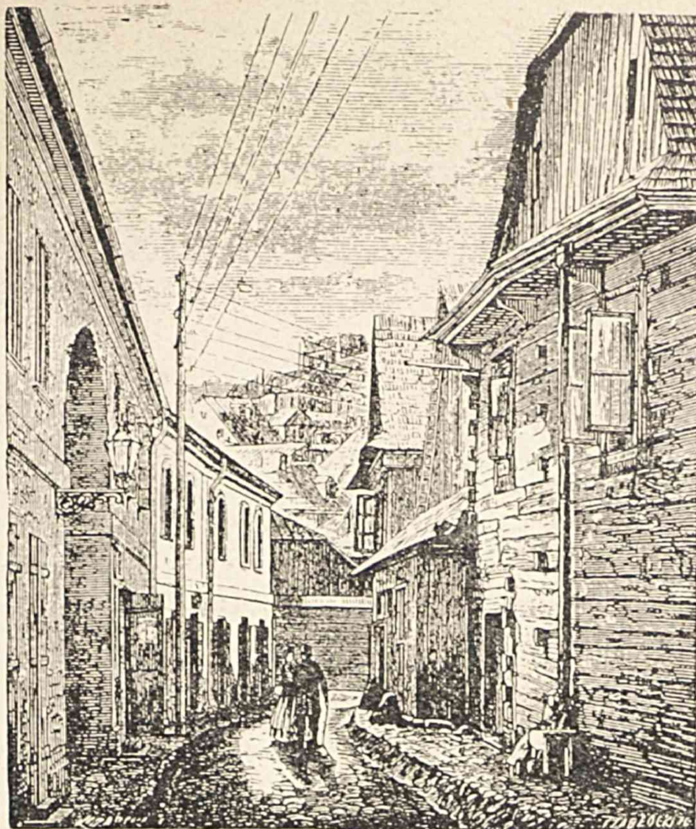
Według p. Potockiego, jednym z grzechów śmiertelnych pozytywizmu warszawskiego był głośny w swoim czasie atak na romantyzm w artykule p. F. Krupińskiego (Ateneum z 1876 r.), który to pisarz, w dwa lata potem obszerniej, w sposób naukowy scharakteryzował nowy kierunek filozoficzny. P. Potocki słusznie uważa romantyzm polski, jako poetyczne stwierdzenie jedności narodowej, prometeiczną walkę o wyzwolenie ducha polskiego. Przypomnieć jednak muszę, że nie znalazły poparcia w prasie postępowej poglądy racyonalistyczne Krupińskiego, który w zbytniem rozegzaltowaniu poezyi widział niesłusznie przyczynę wszystkich naszych błędów i katastrof politycznych. Stwierdza to wyraźnie Chmielowski w swoim „Zarysie“ (wyd. II, str. 45), ja zaś mogę się także powołać na cały szereg moich szkiców i artykułów o dramatach Słowackiego, korespondencyi Mickiewicza, „Listach z podróży“ Odyńca, artykułów, drukowanych w „Przeglądzie“ przed trzydziestu kilku laty.

Oceniając potęgę i świetność naszych wielkich geniuszów, walczyliśmy nie przeciw żywotnym stronom romantyzmu, ale przeciw jego przeżytkom i zboczeniom. Kilkoma garściami polemicznego rzutu Adam Wiślicki w świetnym szkicu „Groch na ścianę“ („Przegląd Tygodniowy“ z 1867 roku) przepłoszył gromadkę bezmyślnych maruderów romantyzmu, spędził stada pomniejszego poetyckiego ptactwa, które ćwierkało sentymentalnie, jęcząc i narzekając na urojone nieszczęścia.

Ceniąc, jak należy, wielkie porywy poezyi, krytykowaliśmy mesyanizm, bezpłodną mistykę i tę wiarę, że z obłoków zejść muszą archanielskie hufce dla obrony polskiej nędzy!

Nic dziwnego, że w polemicznym ferworze, tak zwany, pozytywizm warszawski popełnił liczne błędy, że wkońcu musiał ustąpić innym prądom i czynnikom wśród szybkiej przemiany wartości intelektualnych naszej epoki.

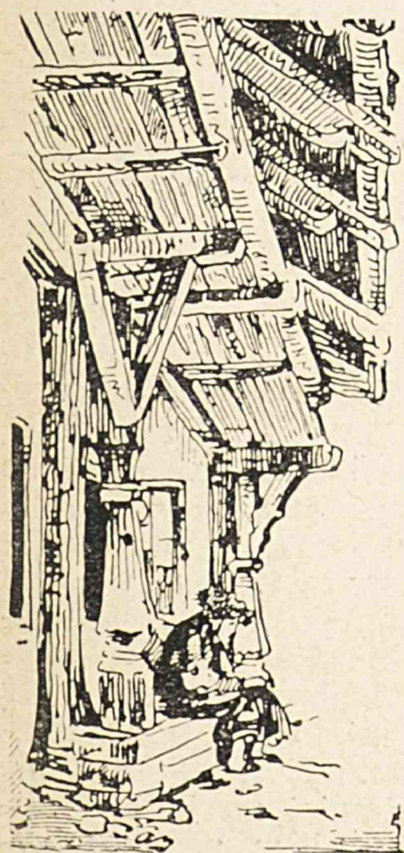
Ale spełnił swoję rolę, jako zaczyn ruchu i odnowy „kształtów przeżytych“. Pomimo dążeń realnych i praktycznych, nie brakło pozytywistom społecznego idealizmu, a nawet różowych złudzeń. Młodzi poeci, głoszący nowe hasła, przed... czterdziestu laty uderzali mocno w akordy miłości i harmonii bratniej — pragnęli walki niekrwawej, ale takiej, która „kraj oświeci od piwnic aż do poddaszy“. *Józef Kotarbiński.*



Ulica Rybaki w Warszawie.

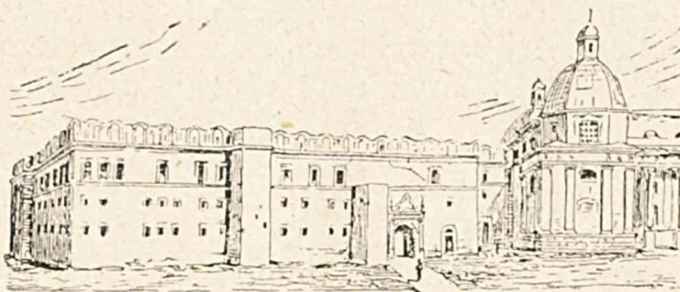
# Z dziedziny polskiej sztuki budowniczej.

**Praca Stefana Szyllera „O attykach polskich i dachach wklęsłych“.**



Dom drewniany w Wiśniczu.

Książka ta, wydana przez wybitnego architekta i wielbiciela rodzimego budownictwa naszego, jest ciekawą nietylko dla specyalistów i miłośników budownictwa. Powinna zaciekawić wszystkich, którzy się wogóle zabytkami przeszłości naszej interesują. P. Szyller wyprowadza historyę powstania u nas tak zwanych attyk, t. j. murów szczytowych, zasłaniających dachy, które spotykamy na starych zamkach, kamienicach, ratuszach, synagogach na dawnych ziemiach pol-



Zamek dolny w Wilnie przed 1797 r. (Założony około 1350 r.)

skich, jak w Krakowie, Poznaniu, Tarnowie, Warszawie, Kazimierzu, Lublinie, Łucku, Ostrogu, Wilnie i t. d. W pracy swej p. Sz. udowadnia, że attyki owe są charakterystyczną cechą naszego budownictwa, że powstały one pierwotnie na warowniach i zamkach już w XVI w. Wówczas używano tych nadbudówek, osłaniających dachy, bez wszelkich zewnętrznych ozdób, bardzo prostej konstrukcyi, w celu zakrycia łatwopalnych dachów od napadów tatarskich, gdyż byle żagiew, przyczepiona do strzały, niecila pożar na dachach warowni. Była to osłona, a jednocześnie małe otwory w tych nadbudówkach służyły za strzelnice. Zwyczaj ten tak się rozpowszechnił na dawnych ziemiach polskich,



Widok klasztoru w Krakowie z murami attykowemi. *(Według rys. z nat. J. Kossaka).*

dla celów obrony, ale i dla upiększania budowli miejskich. Jednocześnie z powstałemi attykami musiały zmienić form, swoję i dachy zwykłe, dwuspadkowe, które musiano budować wklęśle, a wodę wyprowadzano przez otwory w tych attykach na zewnątrz budynków za pomocą sterczących rynien (garłaczy), które na starych sztychach Matejki widzimy.

Stefan Szyller.

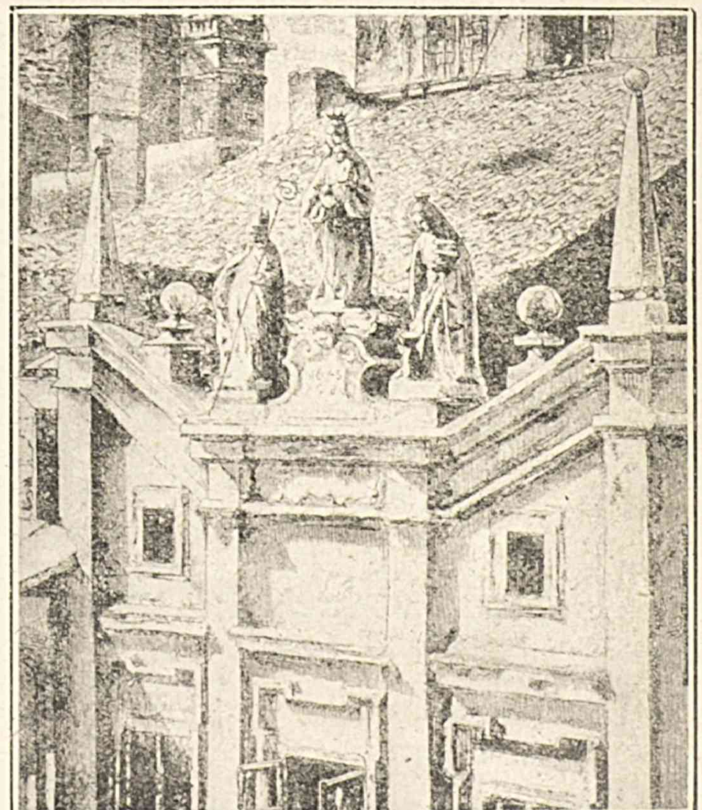
Takie dachy istniały przed wiekiem XVI i na Sukiennicach krakowskich.

Cytując pracę Łuszczkiewicza, który twierdzi, że poczęto używać attyk w Polsce w XVI w. pod wpływem włoskim, p. Szyller zbija to przekonanie, dowodząc, że włosi, przyjechawszy do nas już zastali attykową architekturę, bo attyka polska miała swój odrębny charakter, wyraźnie świadczący o pochodzeniu własnem.

P. Sz. nie zaprzecza, że włosi upiększyli attykę na Sukiennicach i rozwinęli w naszych budowniczych poczucie piękna, ale przy ozdabianiu posiłkowali się rzemieślnikami miejscowymi, zwłaszcza przy dużych robotach, i dlatego renesans włoski tłómaczono u nas na swój język; powstawały nowe formy, które wyrosły na naszej ziemi, nie zatraciwszy swoich cech zasadniczych, z tradycyą polską związanych.

*Konstanty Teleżyński,*

*Budowniczy.*



Attyka domu № hipot. 56 (Falkiewicza), na Starem Mieście w Warszawie.

# Doniosła reforma amerykańska.

## Praca jako nauka.

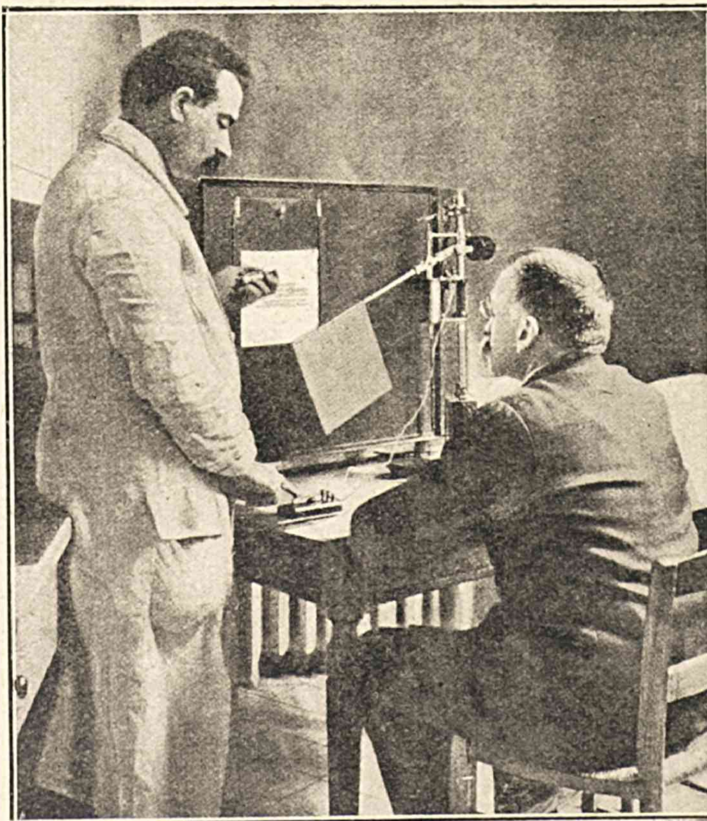
Spokojnie, bez rozgłosu, drogą powolnej ewolucyi urzeczywistnia się w Ameryce zaczątek wielkiego dzieła, które za lat kilkadziesiąt może zmienić zupełnie postać świata. Nie w pracowni uczonych, z całym aparatem skomplikowanych przyrządów i śmiałych hipotez, lecz w murach fabrycznych, z obserwacyi i zastanowień jednego głębokiego umysłu ludzkiego zrodziła się nowa nauka, dążąca do zasadniczego przewartościowania istniejących wartości. Nauka pracy. Podstawą jej stało się stwierdzenie, że każda, najelementarniejsza nawet praca, jaką jest naprzykład przenoszenie pewnego ciężaru z miejsca na miejsce, jest w swej istocie — jakkolwiek z pozoru wydawałaby się prostą — umiejętnością, tak skomplikowaną, że poszczególny pracownik, choćby najinteligentniejszy, nie zdoła jej ogarnąć swym umysłem. A z niezrozumienia tego, z nieoparcia tej, najprostszej nawet, pracy na naukowych zasadach wynika nadaremna strata wysiłków i czasu, niewykorzystanie ich racyonalne. Więc celem nowej nauki jest zbadanie istoty każdej gałęzi pracy, naukowe określenie potrzebnego do wykonania wysiłku i czasu, naukowe stwierdzenie użyteczności i wydajności danego narzędzia pracy, a wreszcie przyuczenie robotnika do pracy na podstawie nowego systemu, uzasadnionego pozyskanemi w drodze naukowej wskaźnikami.

Pionierem reorganizacyi pracy na podstawach naukowych, twórcą nowej nauki jest amerykanin, Frederic W. Taylor, którego główne dzieło, gromadzące rezultaty długoletnich spostrzeżeń, badań i dociekań, „Zasady organizacyi naukowej zakładów przemysłowych", przyswoił niedawno językowi polskiemu w doskonałym przekładzie inżynier Henryk Mierzejewski *).

Autor rozpoczynał swój zawód przemysłowy, mimo fachowego wykształcenia, jako prosty wyrobnik w warsztatach mechanicznych Midvale Steel Company. Spostrzegawczy umysł zauważył zaraz od pierwszej chwili, że wydajność pracy maszyn i robotnika nie jest taką, jaką by być powinna; dalsze dociekanie naprowadziło na przyczyny złego. Odtąd stał się Taylor reorganizatorem, najpierw na małą, potem na coraz większą skalę. Kolejno przeprowadził reformę pracy we wszystkich działach swej fabryki, wnioski i rezultaty badań przedstawiał Stowarzyszeniu inżynierów-mechaników, lub ogłaszał w broszurach, starał się pozyskiwać zwolenników dla swej idei, gromadził nieznużenie materyały obserwacyjne i statystyczne. Znalazłszy naukowe podstawy jednej gałęzi pracy, przystępował do badania innej, biorąc w rachubę wszystkie czynniki: siłę robotnika, i jego uzdolnienie, i psychologię, i stosunek pracy do zarobku, i użyteczność narzędzi pracy, i t. d.

Przez parę lat działalność jego była niezwykle utrudniona, bo robotnicy widzieli w nim wroga, właściciele fabryk zaś marzyciela, którego mrzonkami i teoryami nie warto się było zajmować. Wytrwałość i energia, niezrażanie się żadnemi przeciwnościami zapewniły wreszcie zwycięstwo pionierowi nowej idei. Poczęli powoli robotnicy rozumieć korzyści, wypływające dla nich z reformy, poczęli je rozumieć przedsiębiorcy, co więcej, znalazł Taylor pomocników, którzy przedsięwzięli badanie innych gałęzi pracy, dla niego niedostępnych. Idea utorowała sobie drogę; zaczął się rozwój powolny, lecz stały. I dzisiaj już szereg fabryk, kilkadziesiąt tysięcy robotników pracuje z najlepszym wynikiem na podstawie naukowej organizacyi pracy, coraz inne fabryki wprowadzają nowy system.

Zasady systemu Taylora można streścić w czterech punktach: 1) ujęcie każdej, nawet elementarnej czynności robotnika w prawo naukowe, zastępujące dawną metodę empiryczną jednostki, przekazywaną tradycyjnie z pokolenia na pokolenie; 2) specyalizowanie, kształcenie i wyrabianie robotnika, a nie pozostawianie mu swobody wyboru zawodu i sposobu nabywania wiedzy w danej specyalności, jak było dawniej; 3) ustawiczne kontrolowanie każdego poszczególnego robotnika celem stwierdzenia, czy praca jest wykonywana w myśl określonych naukowo zasad; 4) równy podział trudów i odpowiedzialności pomiędzy kierownictwem i robotnikiem, oraz przekazanie kierownictwu inicyatywy i wszystkiego, co przechodzi zdolności wykonawcze robotnika.



Badanie zdolności spostrzegawczej pracownika, zmuszonego odczytywać dłuższy napis, pojawiający się na krótko na ekranie.

Rozpatrzmy teraz jeden z przykładów, podanych przez Taylora, celem objaśnienia przytoczonych powyżej punktów nowego systemu. Przykład ten da zarazem pojęcie o sposobach wprowadzania naukowej organizacyi pracy.

Jedną z najprostszych robót w fabrykach żelaza jest przenoszenie t. zw. gęsi surowcowych. Robotnik schyla się, chwyta kawałek surowca, ważący około 45 klg., i przenosi go o kilkanaście kroków dalej. Praca, zdawałoby się, tak prosta, że możnaby wytresować do niej małpę. Robotnik ładował średnio po 12,5 tonny surowca dziennie. Taylor rozpoczął reformę wyszukaniem robotnika, najodpowiedniejszego pod względem sił fizycznych i duchowych. Przyrzekł mu o 60% większe wynagrodzenie, lecz zażądał przenoszenia 47 tonn dziennie, i najzupełniejszego, ślepego posłuszeństwa kierownikowi, określającemu chwilę podnoszenia ciężaru, ruszenia w drogę, odpoczynku i t. d. Mimo zwiększenia wydajności pracy, robotnik pracował z mniejszem zmęczeniem, dzięki racyonalnemu rozdziałowi ruchów i odpoczynków. Ilość i jakość potrzebnych ruchów i potrzebnego odpoczynku musiały być poprzednio zbadane naukowo; ze zbadania tego wyniknęła naukowa zasada pracy przenoszenia gęsi. Ustaliwszy zasadę, zajął się Taylor doborem pracowników, gromadząc ludzi silnych, lecz tępych umysłowo, „woły robocze", jak ich sam nazywa. Ci byli najodpowiedniejszym materyałem do pracy tego rodzaju.

Podobne ustalenie naukowe zasady i oparcie na tej podstawie organizacyi bardziej skomplikowanych gałęzi pracy przemysłowej dało również doskonałe wyniki. Tak np. Frank B. Gilbreth zbadał szczegółowo pracę murarzy, aby stwierdzić, o ile wykonywane przez nich poruszenia odpowiadają ekonomicznej zasadzie psychologii i fizyologii, oraz czy narzędzia pracy, będące rezultatem długoletniego doświadczenia murarzy, są istotnie dostosowane od swego przeznaczenia. I dzięki wprowadzonym reformom, trzydziestu murarzy wykonywało bez natężenia pracę, do której poprzednio trzeba było użyć stu robotników. Koszta budowy zmniejszyły się o 50 proc., mimo że płaca została podwyższona. Reformy zaś nie polegały bynajmniej na jakimś nowym wynalazku, lecz na troskliwszym doborze robotników i narzędzi, oraz na oduczeniu robotników od zbytecznych poruszeń. W celu zindywidualizowania zleceń i zachęcenia jednostek do większej wydajności pracy, zastosował Gilberth po-

*) Frederic W. Taylor. *„Zasady Organizacyi Naukowej zakładów przemysłowych"*, przełożył inż. Henryk Mierzejewski. Biblioteka techniczno-przemysłowa. Tom I. Warszawa. Wydawnictwo „Przeglądu Technicznego", 1913.

mysłową metodę obliczania i zapisywania liczby cegieł, położonych na murze przez każdego robotnika, zawiadamiając go również często o postępach sprawności.

Na czele przedsiębiorstwa, opartego na naukowej organizacyi pracy, staje kierownik naukowy i jego pomocnicy. Ich zadaniem jest ustalenie potrzebnego czasu i wysiłku, dostosowanie indywidualizmu robotnika do danej pracy przez dobór personelu, wydanie codziennych zleceń, niejako zadań szkolnych, jakie robotnik ma wypracować, ciągła kontrola pracy, przyuczanie nowych robotników do systemu, wyznaczanie premii za wykonanie zleceń terminowych i t. p.

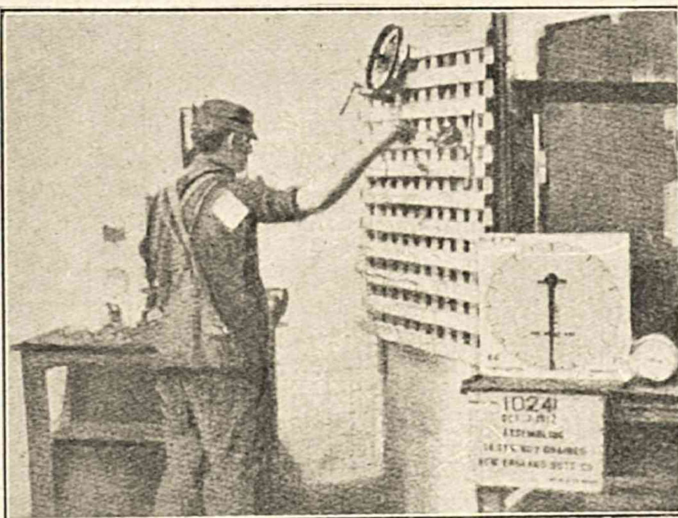
Bardzo interesujące są horoskopy, jakie twórca nowej nauki stawia na przyszłość zorganizowanej naukowo pracy: Powszechne wprowadzenie organizacyi naukowej mogłoby podwoić średnią wytwórczość robotnika. Oznacza to powiększenie ilości przedmiotów codziennego użytku i zbytku w każdym kraju, możliwość skrócenia dnia roboczego i zwiększenia czasu, przeznaczonego na rozwój umysłowy i przyjemności życiowe robotnika. Równolegle z korzyściami, jakie osiągnie ogół, dzięki zwiększeniu wytwórczości, wzrosną zyski przemysłowców i robotników. Ustaną spory i niezgody pomiędzy nimi. Określenie ilości dziennej pracy będzie zagadnieniem naukowem, a nie przedmiotem targów. Usunięta zostanie opieszałość i próżniactwo (którego autor rozróżnia dwa rodzaje: wrodzone i metodyczne, wynikające głównie z chęci utrzymania kierowników w nieświadomości co do szybkości, z jaką można wykonać daną robotę). Powiększenie zarobków usunie źródło najczestszych sporów, a wspólność i zażyłość przy zrzeszonej pracy, blizka i stała styczność całego personelu zmniejszy niezadowolenia i tarcia organizacyjne.

Ale zmiana systemu organizacyjnego musi się dokonać powoli, stopniowo, na drodze przedstawianych robotnikowi przykładów, które, w połączeniu z pomyślnem wykonywaniem dawanych mu zleceń, przekonywują go po upływie pewnego czasu o wyższości organizacyi naukowej nad dotychczasowym systemem pracy. Jest to sprawa 2, 3, a nawet często 4 i 5 lat. Zbyt raptowne zmiany nie udają się, a co gorzej, zrażają i robotników i przedsiębiorców do reformy. To też sam autor przestrzega bardzo stanowczo przed zbytnim pośpiechem. Odwlecze się wprawdzie chwila, kiedy cały świat zostanie objęty reformą, ale zato organizacya naukowa pracy tem silniej zapuści korzenie w społeczeństwie, powolna ewolucya nie wywoła szkodliwych przewrotów w dziedzinie ekonomicznej, jakiemi grozićby mogła nagła zmiana.

Uzupełniająco dodać należy, że technicy amerykańscy skonstruowali już szereg pomysłowych przyrządów, ułatwiających badanie każdej pracy i poszczególnych jej faz. Tak więc np. celem zbadania zdolności spostrzegawczych pracownika, sadza go się przed aparatem, który, po naciśnięciu guzika, odsłania na chwilę dłuższy napis, umieszczony na białym ekranie. Kierownik naukowy stwierdza z zegarkiem w ręku, ile czasu potrzebuje pracownik na odczytanie napisu. Celem zbadania poszczególnych faz, np. pracy ślusarza maszynowego, umieszcza się obok warsztatu duży zegar sekundowy i kinematografuje przebieg pracy. Poszczególne obrazy filmy wykazują dokładnie, ile czasu trwa każdy ruch, jakie poruszenie było nazbyt powolne, lub niewłaściwe. Przyrządów tego rodzaju istnieje już bardzo dużo.

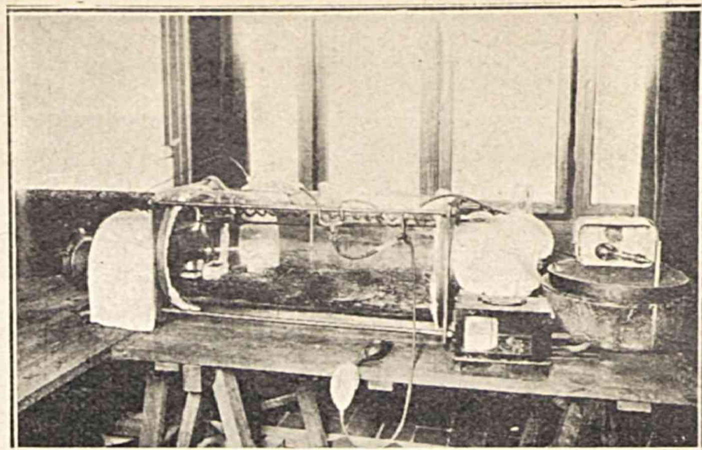
Europa niezbyt zainteresowała się dotąd nową nauką. Wykłady amerykańskiego profesora, Hugona Muensterberga, na uniwersytecie berlińskim w r. 1911, referaty jego na kongresie psychologicznym w Berlinie o psychotechnice—takie bowiem miano nosi nowa nauka — nie wywołały oddźwieku. Tembardziej cieszyć się należy, że w kraju naszym technicy, wyprzedzając inne kraje Europy, zajęli się z zainteresowaniem nowym problemem zreorganizowania naukowego pracy ludzkiej. Oby dzieło Taylora, które pojawiło się w polskim przekładzie, znalazło jak najliczniejszych czytelników; oby wślad za zajęciem powszechnem poszła jak najrychlej praktyczna realizacya metod amerykańskich w zakresie pracy naszego robotnika.

*Stanisław Sierosławski.*





Badanie poszczególnych faz pracy ślusarza maszynowego przy pomocy kinematografu i zegara sekundowego.



Aparat do hodowli zwierząt doświadczalnych, żyjących bez mikrobów.

# Życie bez mikrobów.

Profesor Michel Cohendy, uczeń znanego Miecznikowa, jest obecnie zajęty pracą nad rozstrzygnięciem problematu życia bez mikrobów. Problemat ten został po raz pierwszy podniesiony przez Pasteura, który jednak doszedł do wniosku, iż życie bez mikrobów jest niemożliwem. Ilość mikrobów, wydzielanych dziennie przez jednego człowieka, według Gilberta i Dominici, dosięga 11.725.000.000. Organizm ludzki w ciągu długich stuleci przystosował się do współżycia z niemi i dziś, jak sądził wielki uczony, obejść się bez nich nie może. Jeszcze w r. 1885 Pasteur pisał w „Comptes rendu de l'Academie des Sciences", iż zająłby się doświadczeniami nad kurczętami w naprzód określonym celu, aby udowodnić swe stanowisko, jeżeliby mu na to czas pozwolił. Niestety, nie zdążył uczynić tego. Miecznikow i jego uczniowie są wręcz innego zdania.

M. Cohendy ma zamiar wkrótce złożyć Akademii Paryskiej sprawozdanie ze swych doświadczeń nad świnkami morskiemi. Przed paru laty czynił już doświadczenia nad kurczętami w sposób następujący: Umieszczał trzy jaja w aseptycznym aparacie; tam się wylęgały z jaj kurczęta, żyły, rozwijały się. Dostawały świeże powietrze i pokarm, zupełnie pozbawione mikrobów. Rozwijały się nie gorzej od kurcząt, wychowanych w zwykłej atmosferze.

Na podstawie tego oświadcza Cohendy, iż możliwe jest życie bez mikrobów. Doświadczenia nad świnkami morskiemi upewniły go w tem.

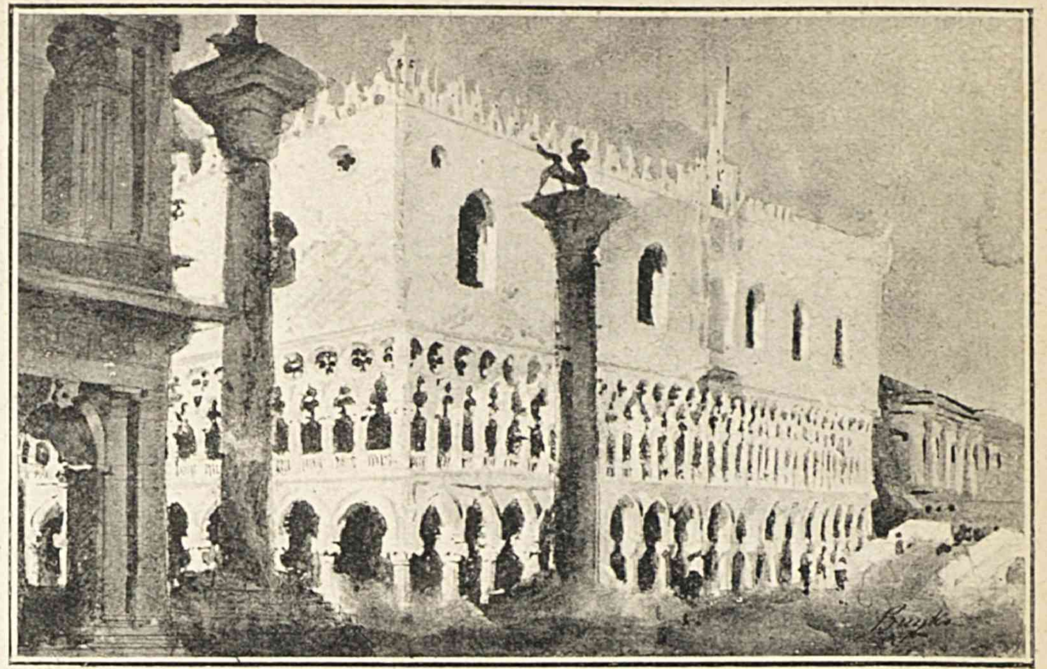
Dotąd cztery takie doświadczenia zostały dokonane; piąte znajduje się w toku. Odbywają się one w sposób, przypominający doświadczenia z kurczętami. Aby się świnki rozwijały w atmosferze aseptycznej od chwili urodzenia, Cohendy w specyalnym aparacie kauczukowym przyspiesza poród drogą chirurgiczną (Operation Cesarienne), poczem nowonarodzona świnka zostaje wprowadzona za pomocą specyalnej rurki szklanej do uwolnionego od mikrobów aparatu szklanego. Tam zaopatrują ją w oczyszczone od mikrobów świeże powietrze, wodę, mleko etc. Doświadczenia dają wyniki pożądane.

Identyczne doświadczenia, dokonane przez prof. Kustera, stwierdzają raz jeszcze słuszność zasady Miecznikowa-Cohendy'ego. Problemat więc biologiczny — życia bez mikrobów może być poczytywany za rozstrzygnięty. Prof. Cohendy przypuszcza, iż odkrycie to będzie posiadało znaczenie doniosłe dla ludzkości.

*Paryż.* *S. T—cz.*



B. Buyko w Rzymie.



B. Buyko Pałac Dożów w Wenecyi.

# Tadeusz Jaroszyński.

## Z powodu dwóch nowych książek.

Na dorobku literackim Tadeusza Jaroszyńskiego znać dużą kulturę. Czy to weźmiemy jego wytrawne artykuły o sztuce (zebrane w książce „Jak patrzeć na dzieła sztuki", czy jego powieści: „Miasto", „Doktór Tomasz", „Wieża z kości słoniowej" i in.), wszędzie spotkamy znajomość najlepszych wzorów europejskich i ślady sumiennych studyów.

Lecz książki nie dają wiedzy dostatecznej do zbudowania powieści, zwłaszcza powieści realistycznej. Realista powinien posiadać głęboką wiedzę życia, odbyć nad niem studya niemniej sumienne, jak nad pracami poprzedników i współczesnych. Musi umieć patrzeć i analizować momenty w zmiennym kalejdoskopie zdarzeń, który się przed nim przesuwa.

Jaroszyński posiada tę wiedzę życia w tysiącznych jego objawach i załamaniach. Zna szczyty duchowe i niziny najbrudniejsze, najboleśniejsze. Zna również te płaszczyzny bagniste, po których pełzają ociężałe gady, lub skaczą śmieszne ropuchy, a złośliwe chochliki za kępami mchu przedrzeźniają ich rechot i syk.



Tadeusz Jaroszyński.

Ta znajomość życia w całej rozciągłości rozproszyła i rozbiła jednolite jego ujęcie. Jednemu zjawisku drugie zaprzecza — jedno powzięte stanowisko drugie obala. I wkońcu pozostaje wielobarwne falowanie bytu, któremu towarzyszy cichy ból autora, szerokie ludzkie współczucie dla wszelkiej niedoli. Wyobraźnia Jaroszyńskiego wrażliwa jest przedewszystkiem na wszelkie dysonanse, rozbieżności, rany życia. Więcej maluje nam zjawisk smutnych, niż kojących. W bezwzględnych opisach największych mętów życia przypomina czasem Emila Zolę. Przypomina go też doskonałem, doświadczalnem wystudyowaniem różnych fachowych stron życia, które opisuje. Lecz Zola opisy swoje bierze za punkt wyjścia do postawienia syntez społecznych lub do krytyki stosunków istniejących. Jaroszyński w wynikach ostatecznych swej pracy idzie raczej za Bourget'em. Zajmuje go najwięcej jednostka ludzka z jej przeżyciami, walkami wewnętrznemi i tragizmem. Nie uogólnia więc i nie formułuje sił, rządzących bolesną walką społeczeństwa, lecz kreśli sylwetki, typy, zagłębia się w ich psychologię, podaje w formie artystycznie zaokrąglonej całe bogactwo materyału zebranego z życia. Maluje miasto, maluje ciemne zakamarki istnienia. Daje zawiązanie dramatu, nie rozwiązuje go nigdy pogodnie, kojąco.

Przypatrując się tej komedyi ludzkiej, ma Jaroszyński uśmiech ironiczny. Są zjawiska niegłębokie i niepoważne, sfera humoru, poziomości, ślepego trafu. W nowelach swych „Oko za oko" czerpie Jaroszyński z bogatej kolekcyi swych obserwacyi z tej sfery. Ma wobec nich uśmieszek ironiczny. Zadowolenie kolekcyonera przesłania w nim oburzenie satyryka, święty gniew idealisty. Zmęczone serce czasem nie może już dokonywać na sobie ciągłej wiwisekcyi: bawi się więc tylko podrygami maryonetek i napróżno nie szuka w nich duszy.

Prócz tomu nowel „Oko za oko", zajmującą próbą jest ostatnia powieść Jaroszyńskiego p. t. „Za wieku starego". Napisana jest cała staropolszczyzną. Próba takiej stylizacyi zawsze jest ryzykowna, wymaga olbrzymiej wiedzy filologicznej, oczytania w starych źródłach. Niesposób uniknąć pewnych niezręczności i ciężkości stylowych, nawet po dokładnem przyswojeniu sobie mowy archaicznej. W każdym bądź razie, widać w tej pracy dobrą znajomość epoki, tła historycznego, a cała powieść, ze swą barwną, iście renesansową, fabułą stanowi lekturę nader zajmującą. *Savitri.*

# Romania mare!

*(Specyalna korespondencya „Świata").*

*Bukareszt, w sierpniu.*

Sympatyi zbytniej dla rumunów nie żywiłem nigdy. Spotykałem ich po świecie. Widywałem czarnych bojarów, wielokrotnych milionerów, przy zielonym stole ruletki. Słuchałem grajków rumuńskich — zapłakanych i natrętnych. Kochałem sie nawet w wołoszkach — w ustach, ulepionych z miodu, i spojrzeniach, żarzących się płomieniem. I słyszałem o nędzy mołdawskiego chłopa!...

Z niechęcią wspominałem rumunów gest ostatni, ów szumny najazd na Bułgaryę — powaloną i bezbronną, ów nierycerski wyzysk cudzej żałoby!...

Bardzo trafnie nazywa się wojna po rumuńsku. Nazywa się... *razboj!...*

* *
*

Niepostrzeżenie przejeżdża się granicę. Ani koszar, ani kordonów, ani nawet jednej budki strażniczej.

Jakże to inaczej jest na pograniczu Austryi i Serbii. Bagnety, i warty, i forty! I zewsząd oczy złe, oczy czujne, oczy łapczywe...

Na zielonej przełęczy Bukowiny, po złotych polach i falistych zboczach drzemie jeszcze sielanka niedawnej przyjaźni austryacko-rumuńskiej.

W Burdujeni*), na samym progu rumuńskich dzierżaw, jest coś, co Włochy uparcie przypomina. Krzykliwe a-

*) *Stacya graniczna między Bukowiną a Rumunią. Wymawiaj: Burdużeni.*




Ciekawy objaw entuzyazmów rumuńskich. Widokówki, przedstawiające galop wojsk rumuńskich na Sofię.

fisze i krzykliwe rozmowy, żywe gesty rąk i żywe ruchy służby, nawet mundury barwne i trochę operetkowe doskonale się zestrajają z typem ludności o charakterze wybitnie łacińskim.

Przez otwarte okno poczekalni płynie zapach włoskiego orzecha i zaglądą słońce, ogromne, gorące — słońce upalnej Sycylii!...

Pachnie Italia!...

Pociąg przepełniony. Idzie tylko jeden na dobę.

Wszyscy czytają, dyskutują, gestykulują i przeczytane szmaty papieru rozrzucają po siedzeniach i kurytarzach. Podejmuję jeden z dzienników. Na wielkiej płachcie wielkie ilustracye i sam tłusty druk.

Naogół dziennikarstwo tutejsze ma charakter także włoski. Duży nakład, tania sprzedaż, wrzaskliwy kolportaż, polowanie na sensacyę i fundusze z dochodów dyskretnych.

* *
*

Na dworcu w Burdujeni pachniało Italią. W wagonie pachnie, jak w sklepie Atkinsona. Cały pociąg, zda się, idzie w obłokach przejmującej woni. Perfumują się kobiety, perfumują się mężczyźni i perfumują się dzieci — perfumują się wszyscy, nawet konduktor i palacz.

O! jakże próżni są potomkowie hospodara Stefana! Jakże powierzchowny ten ich blichtr zachodu, ich życie oryentalne powleczone pokostem cywilizacyi. Pretensyonalność, kult pozorów, życie nad stan, niezdrowy zbytek, to powszechne charakterystyczne cechy. Kogo nie stać na dorożkę, kupuje sobie automobil. Komu lekarz przepisał okulary, zakłada monokl. Monokl nosi zresztą co drugi rumun. I to bez porady lekarza. Albo w oku, albo, jeśli jeszcze nie umie, na taśmie. W monoklu sprzedaje kupiec powidła i w monoklu pisze kominiarz w niedzielę list do narzeczonej. A pisze go po francusku, bo język francuski jest szykowny. Pisze atramentem fioletowym na papierze różowym, bo atrament fioletowy i papier różowy, są to także rzeczy szykowne.

Papier zaś i atrament kupuje się w sklepie *de luxe*. Wszędzie w Europie właściciele sklepów unikają takich gróźb na kieszeń. W Rumunii na dwa sklepy, jeden jest *de luxe*. Nawet wdowa po szewcu, która robi pończochy przy świeczce, zawiesza nad swem krzywem oknem szyld szumny i pociąga drobny ludek mamidłem zbytku. Obiecuje mu upragniony *luxe* za tanie pieniądze.

O! jakże próżni są potomkowie hospodara Stefana!...

* *
*

Duszę się Atkinsonem. Otwieram okno i spoglądam w przestrzeń.

Krajobraz podolski!

Jeszcze u granic Bukowiny teren był lekko górzysty, ale teraz rozlała się już równia — równia przeczysta, nieskończona, w nieuchwytną dal idąca, sfalowana jeno gdzieniegdzie pękami sadów i ogrodów około wiosek. Bursztynowa pszenica ozłociła pola. Gną się kłosy w ciężarze swego ziarna za pędem przelatującego pociągu i drzewo się skłania do drzewa. Na granatowych skrajach lasu stoją cerkwie, obrosłe w krzyże, i wydymają pękate kopuły w żarem zalane powietrze.

Uprawa roli również przypomina Podole, które chlebem pachnie. Łany, biegnące milami, mówią o gospodarce latyfundyów. Prawie nie widać działków chłopskich. Wszystka ziemia skupiona w rękach kilku Ghików, Sturdzów i Cantacuzenów, którzy budują sobie marmurowe pałace w Bukareszcie, oplatają je ogrodzeniem z żelaza i złota, jak park Monceau w Paryżu. Ziemię dzierżawią spekulanci żydowscy dziesiątkami tysięcy morgów, a uprawiają chłopi za wynagrodzeniem w naturze — chłopi nędzni i głodni!...



Bukareszt. Bulwar akademicki.

* *
*

Co to? Ranny? Skąd?

Na dworcu w Maraszeszti ruch i zgiełk.

Przez zbite tłumy przeciska się człowiek napoły po wojskowemu ubrany i chroma na jednę nogę żałośnie. Twarz ma zoraną cierpieniem i za każdym krokiem syczy, usta wykrzywiając z bólu.

Ale publiczność jest niedowierzająca. Co to? Ranny? Skąd?

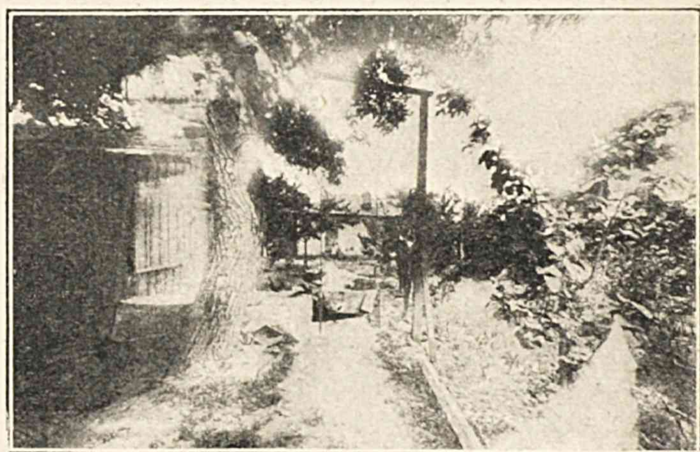
Żołnierz, który prowadził kalekę, rzecz pokrótce wyjaśnił i radość poszła po tłumach. Istotnie ranny! I litościwi ziomkowie wspierają inwalida pieniędzmi i ramieniem, dalej stojący odkrywają głowy z szacunkiem, a panie, rozgorączkowane i rozczulone, przesyłają całusy.

Wśród okrzyków i owacyi, wśród nieporadnych wysiłków, bolesnych skurczów twarzy i tłumionych jęków, ranny wchodzi do mojego przedziału. Jakiś wyższy oficer wyznaczył tu mu miejsce. Jestto pięknie, że żołnierzom, chociaż prostym, ale zasłużonym dla ojczyzny, daje się wygody pierwszej klasy. Słusznie im się to należy i ten objaw żołnierskiej solidarności przejął mnie wzruszeniem.

O, Boże! Ale teraz to układanie okaleczałej nogi na poduszkach wagonu!

Jakież to było straszne! Żadna pozycya nie była mu dobrą. Za każdem poruszeniem jęk wydzierał się z ust konwulsyjnie ściśniętych i pot umęczenia osadzał się kroplami na czole.

Aż wreszcie dwóch podróżnych usiadło na podłodze wozu i biedną nogę żołnierza ostrożnie oparło na swych ramionach. I tak już ją dowiozło aż do Bukaresztu.



Domek w Bukareszcie, w którym obecny tryumfator serbski, Pasicz, spędził kilka lat trwogi i nędzy, gdy przed trzydziestu laty uciekł był z Belgradu, skazany na śmierć przez króla Milana.

Był to czyn prosty i piękny. Tylko w momentach, gdy serca zgodnem uniesieniem na jednę wspólną nutę biją, nieprzebrana litość człowiecza zdolna jest do takich majestatycznych w swej prostocie gestów.

Żołnierz począł wreszcie opowiadać.

Był szoferem na terenie operacyi wojennych. Jechał ze sztabem na obiad, gdy automobil na jakiejś gorszej dróżynce stracił równowagę i spadł do rowu, w którym było bardzo dużo błota. Generalicya tylko się osmarowała, ale żołnierz nogę stracił.

A gdy wrócił do domu — kaleka, na całe życie unieszczęśliwiony — w Maraszeszti... zaaresztowała go policya. Żadną miarą nie chciała uwierzyć, by wojsko rumuńskie mogło mieć rannego? I węsząc oszustwo albo spekulacyę, zamknęła kalekę do więzienia, między zbrodniarzy!...

* *
*

— Pan jedzie z Austryi? — pyta mię jeden ze współtowarzyszy podróży

półgłosem, by nie zbudzić rannego, który usnął głęboko, mając nogę złożoną na ramionach owych dwóch szlachetnych podróżnych.

— Jadę z Austryi.

— Cóż tam mówią o nas?

— Ano, dziwią się i gniewają. Ale wierzą, że wszystko na stare drogi wróci.

Śmiech w przedziale...

— Niech wierzą!

— Więc nie wróci? — pytam śmiechem zaciekawiony.

— Nie wróci! nie wróci!

— Zatem ostatnia zmiana frontu Rumunii miałaby być zwrotem definitywnym?

— Bezwarunkowo. Jeszcze nasz nowy kurs polityczny nie jest ustalony, jeszcze wahamy się między przymierzem z Rosyą a sojuszem bałkańskim, ale to jedno jest już dzisiaj pewne: na zarosłe ścieżki przymierza z Austryą Rumunia już nie powróci nigdy!

— I skądże ten zwrot taki nagły?

— Złożyło się na to motywów kilka. Przedewszystkiem, nienormalność samego sojuszu z Austryą, który był zawsze stosunkiem obrabowanego do zaborcy; powtóre nielojalność austryackiej dyplomacyi, która zaprzedała nasze interesy interesom Bułgaryi; a potrzecie, sama pozycya Austryi, do tego stopnia osłabionej i osamotnionej, żeśmy musieli przejrzeć, jak dalece nieroztropną rzeczą byłoby wiązać swoje losy z państwem, które zdaje się obejmować żałosny spadek niedomagań po „chorym człowieku".

— A któryż z tych motywów najsilniej na szali zaważył?

— Każdy odegrał swoję rolę, ale żaden nie zadecydował. Czynnikiem decydującym dla przewrotu, jaki zaszedł w naszem życiu państwowem, nie były względy polityczne, ale efekt moralny pierwszej wojny bałkańskiej.

Tryumfy sąsiadów zbudziły nasz naród ze snu. Były dla nas przykładem energii, która się rozniosła echem po kraju. Wywołały zazdrość, rozniecily żądze czynu i rozpaliły pragnienie chwały. Idea Wielkiej Bułgaryi zbudziła w nas ideę Wielkiej Rumunii!

Ocknięty do życia naród przypomniał sobie, że są ziemie rodzone, na których gnieżdżą się orły cudze i cień swych szponów łupieżczych rzucają na złote rumuńskie łany. I że na tych ziemiach leży Wielka Rumunia! *Romania mare!* Od Czarnego morza aż po Cisę!

A gdy pojął, że ta idea wielkiej ojczyzny rumuńskiej musi się w pierwszej linii spełnić kosztem Austro-Węgier — z wczorajszego „przyjaciela" przedzierzgnął się we wroga.

Oto dlaczego nasza zmiana frontu jest przewrotem definitywnym.

*Romana mare!* od Czarnego morza aż po Cisę!

— I tam... za Cisę... z kim pójdziecie? z Rosyą?

— Prawdopodobnie z Rosyą.

— A wasze przysięgi odwetu za Besarabię, któreście tak głośno nieraz przed światem świadczyli?

— Nasze uczucia dla Rosyi nie uległy zmianie. Ale porządek musi być zachowany. Trzeba kolejno rachunki załatwiać. Teraz niedaleka jest chwila stosowna, by wyegzekwować dług od austryaka. Gdy go odbierzemy, pomyślimy...

— — — Bucuresti! — zawołał konduktor, odchylając drzwi wagonu.

Ranny żołnierz ocknął się, porwał się na równe nogi i ruchem pewnym, sprężystym poskoczył do swoich tobołków.

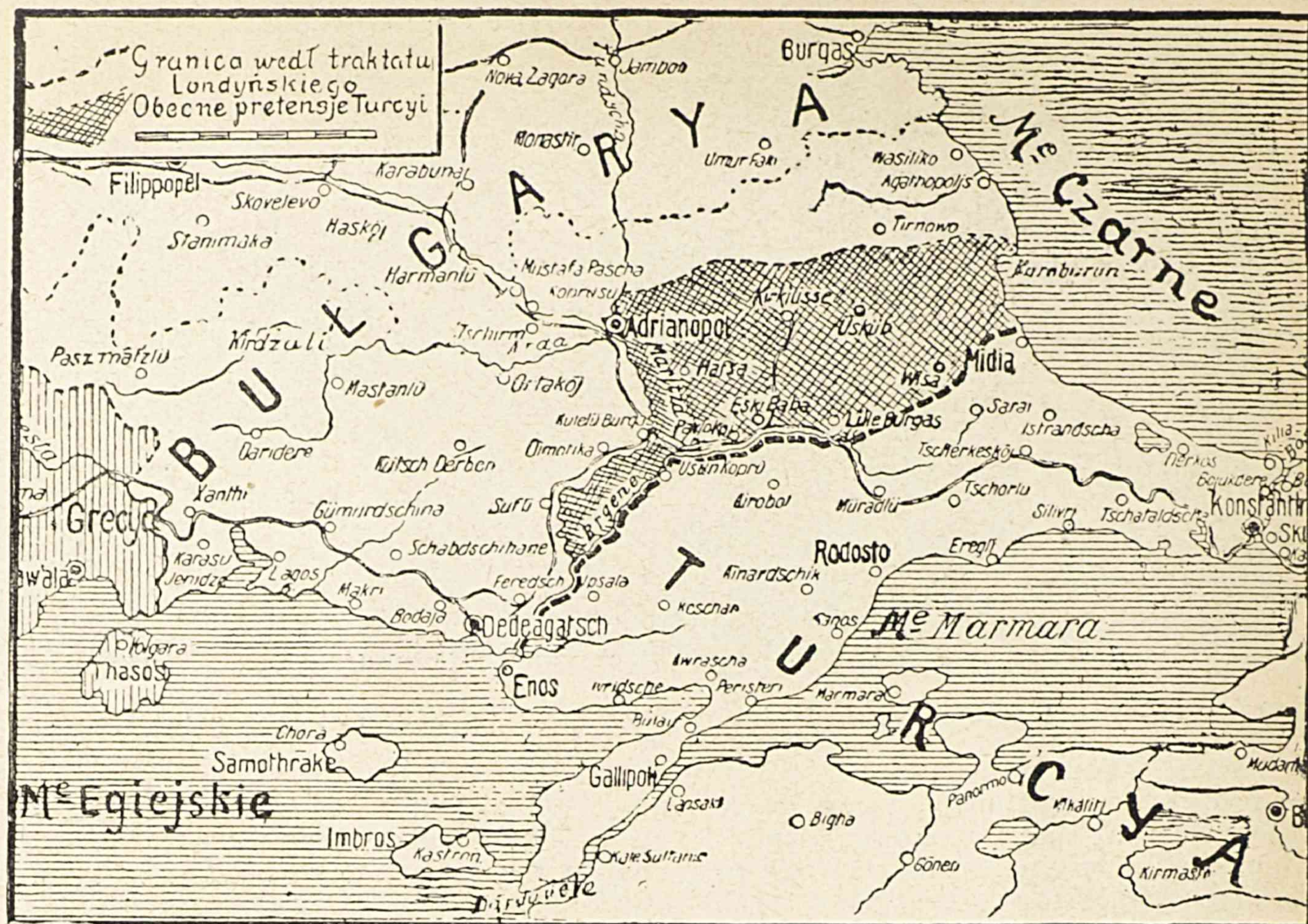
Zoryentował się i stęknął przeraźliwie, ale zapóźno.

Dwaj szlachetni pasażerowie pozostali w pozycyi siedzącej na podłodze wozu, jak dwa skompromitowane posągi...

Nie udał mi się mój pierwszy bohater rumuński.

*Bukareszt.* *Mieczysław Jełowicki.*

## Zatarg turecko-bułgarski.




Granice Turcyi określone przez traktat londyński i obecne żądania Turcyi.

---

# W 50-ą rocznicę zgonu.

## Józef Korzeniowski.

W tym samym roku, w którym oddaliśmy hołd Czackiemu, twórcy liceum krzemienieckiego, przypada pięćdziesiąta rocznica śmierci jednego z najwybitniejszych uczniów i nauczycieli tej szkoły, Józefa Korzeniowskiego.

Urodzony 19 marca 1797 r. pod Brodami w Galicyi, po ukończeniu szkoły krzemienieckiej był przez krótki czas nauczycielem (guwernerem) Zygmunta Krasińskiego. Następnie widzimy go bibliotekarzem Zamojskich w Warszawie. W roku 1823 objął katedrę wymowy i poezyi w liceum krzemienieckiem. Po zamknięciu liceum powierzono mu w uniwersytecie kijowskim św. Włodzimierza katedrę mitologii i starożytności rzymskich. Kiedy uniwersytet kijowski postanowiono odpolszczyć, znalazł się na posadzie dyrektora gimnazyum w Charkowie (1832). Później został ogólnym dyrektorem szkół gubernii charkowskiej.

Już w r. 1844 starał się o przeniesienie do Warszawy na stanowisko dyrektora gimnazyum gubernialnego w pałacu Kazimierowskim. Przyjechał w tym celu do Warszawy, gdzie, jako już zaszczytnie znany powieściopisarz i dramaturg, był tak serdecznie w kołach literackich przyjmowany, że przeżyte chwile wspominał, jako „ważną i najmilszą epokę w swem życiu".

Wieść o jego staraniach krążyła już przedtem po Warszawie. Julian Bartoszewicz, ówczesny nauczyciel gimnazyum gubernialnego, pisał w swych notatach: „Za miesiąc K. ma przyjechać i czekać. Niby to będzie się starał na wizytatora. Nietylko kniaź feldmarszałek (Paskiewicz) go chce, ale podobno magnaci nasi bardzo obstają za nim. Księżna Dominikowa Radziwiłłowa ma w tych zabiegach grać główną rolę. Filipow (ówczesny dyrektor) podał się do emerytury... Niezawodnie wyjdzie, a na czele naszem stanie Korzeniowski. Rzeczy inaczej pójdą pod znanym człowiekiem". Ale w dwa miesiące później (12 listopada) znajdujemy znów w tych notatach: „Nic z oczekiwań. Korzeniowski, który zabawił przeszło miesiąc i miał bawić do Bożego Narodzenia, onegdaj wyjechał napowrót do Charkowa..."

Dopiero w r. 1846 objął Korzeniowski tak upragnione stanowisko. W r. 1849 odwiedził po raz pierwszy Wilno, gdzie go gorąco przyjęto. „Doznaję tu miłych wrażeń — pisał do Kraszewskiego — i takiego spółczucia wszystkich, że zawsze niem szczycić się będę" (niedrukowany list z 19 czerwca). Później został wizytatorem szkół Królestwa. Męczące to zajęcie, zwłaszcza przy ówczesnym braku wygodnych środków komunikacyjnych, odbiło się ciężko na zdrowiu Korzeniowskiego. Już w r. 1857 skarżył się na „opłakany stan zdrowia" (w marcu), ale w kilka miesięcy potem (w lipcu) za-

padł po raz trzeci na zapalenie płuc. Otrzymawszy półroczny urlop, wyjechał do Nicei, gdzie przez 4 lata z rzędu zimę przebywał. Osłabionego fizycznie i zgnębionego moralnie (krytyki Klączki i Siemieńskiego) zaskoczyły wypadki 1861 r. Kiedy Wielopolski za wpływem Enocha stał się wykonawcą reform uchwalonych w Petersburgu, przed Korzeniowskim otworzyło się szerokie pole działalności. Mianowany dyrektorem wydziału oświecenia, miał powierzone sobie wypracowanie Ustawy edukacyjnej. Z zapałem wziął się do pracy i spełnił ją sumiennie. Ale był to już ostatni wysiłek. 11 maja 1862 spisał swój testament, a w początku r. 1863 podał się o uwolnienie ze służby. Z ostatkami tlejącego życia udał się do Drezna, do swej córki Zaleskiej. Przeżył jeszcze upadek Wielopolskiego, widział rozsypujący się w gruzy gmach, do którego budowy rękę przykładał. Zakończył swe cierpienia 17 września 1863 r.

Korzeniowski, obok Kraszewskiego, był najpopularniejszym swego czasu w Polsce powieściopisarzem — w tymże czasie jeden tylko Fredro na scenach polskich większe, niż on, odnosił tryumfy. I nie przeżył się prędko. Zbiorowe wydanie jego dzieł, dokonane w dziesięć lat po jego śmierci, przyniosło majątek — wydawcy.

Był to talent bardzo wybitny, oparty na gruntownem wykształceniu. Chodził w początku w pętach klasycyzmu, jako uczeń Aloizego Osińskiego, widzący przed sobą jedynie wzory rzymskie i francuskie, ale pomału, zapoznawszy się z Szylerem i Szekspirem, porzucił w dramacie deklamacyjność i napuszoność, a starał się o pewną prostotę, naturalność, zarzucał pomału uświęcone tradycyą „reguły", ożywiał dyalog. To też już Mickiewicz zwrócił uwagę na jego „Próby dramatyczne" (1826), nazwał je „wcale dobremi i obiecującemi", a i później szczerze się jego talentem interesował. Tragedya „Aniela" podobała się też mocno Słowackiemu.

Przez lat kilkanaście, z wyjątkiem „Mnicha", brał tematy ze świata obcego lub ogólno-ludzkiego. Na zarzuty, że nie porusza tematów swojskich, narodowych, odpowiadał drukiem (w „Pannie Katarzynie") i listownie. „Byłbym na tej drodze dawno—pisał do Kraszewskiego—gdyby nie moje okoliczności, gdyby nie to, nie owo, o czem nie mogę mówić. Da Bóg, poprawię się" (list z r. 1842). I zanim obiecał poprawę, już się poprawił, już pisał „Obóz pod Buszą", oparty na dziejach ojczystych (nieskończony i niedrukowany), i swoje arcydzieło dramatyczne: „Karpackich górali". Dramatem tym shołdował sobie krytykę i chociaż w następnych, jak: „Izabella d'Ayamonte", lub „Andrzej Batory" (utwór ten sam najwyżej cenił), zdobył się na świetniejsze, nawet pod względem artystycznym, ustępy, nie dosięgnął już jednak tej wyżyny kompozycyi i tego wysokiego nastroju. Najpłynniejszym wierszem odznaczają się „Cyganie".

Do komedyi wziął się Korzeniowski znacznie później. I tu był reformatorem, wprowadzającym kierunek, zdobywający sobie prawo obywatelstwa na Zachodzie. Jemu zawdzięczamy, że komedyę typów zamienił na komedyę charakterów. Po niezbyt udanych próbach napisał „Żydów", gorąco przyjętych przez ówczesnych krytyków: Edwarda Dembowskiego i Jana Majorkiewicza; pierwszy z nich nazwał „Żydów" najlepszą komedyą polską, której autor się „unieśmiertelnił". Na sąd Dembowskiego wpłynęła jednak przeważnie tendencya utworu. Rzeczywistem arcydziełem Korzeniowskiego na tem polu była „Panna mężatka", pełna komizmu, skończona artystycznie, wyposażona w jeden z najsympatyczniejszych w naszej literaturze charakterów kobiecych. Dużą wartość miała „Pierwej mama", wiele dowcipu i zręcznych sytuacyi przyniósł „Majątek albo imię". Tragikomedya „Złote kajdany" należy do najlepiej pomyślanych satyr dramatycznych.



Józef Korzeniowski.

Ulubioną jednak formą Korzeniowskiego w latach późniejszych stała się powieść. Pisarz, nie schlebiający hasłu „sztuka dla sztuki", uważał słusznie tę formę za najlepszy środek do wygłaszania swych zasad, przekonań, zapatrywań. Przepowiadał nawet, co się poniekąd sprawdziło, że powieść zajmie wszechwładne stanowisko w literaturze pięknej.

Powieści też zawdzięcza Korzeniowski dotychczasową swą popularność. Scena nader rzadko wystawia jego utwory, ale „Kollokacya", „Wędrówki oryginała", „Emeryt", „Garbaty", „Tadeusz Bezimienny", „Krewni" ciągle znajdują chętnych czytelników. Klaczko, choć z całym swym temperamentem napadł na tendencyę „Krewnych", przyznał jednak, że należą one „do rzędu tych romansów, któremiby się nawet nie powstydziła i wszelka obca a w świetne utwory tego rodzaju obfitująca literatura". I to podnieść należy, iż w powieści tej po raz pierwszy ujrzeliśmy nasz świat rzemieślniczy i finansowy.

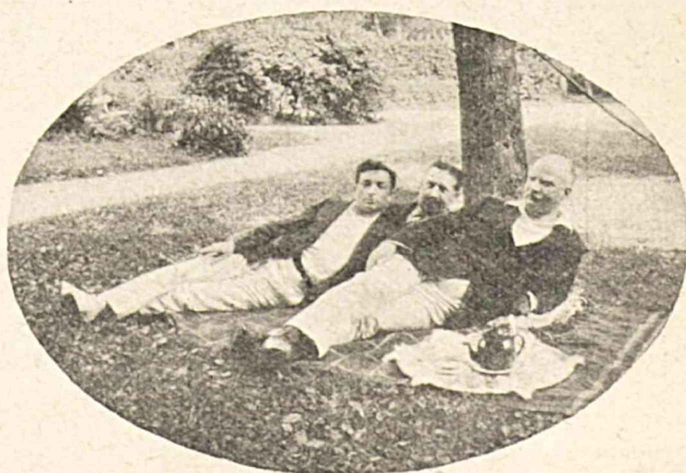
W krótkiej notatce niesposób scharakteryzować powieści Korzeniowskiego. Dość będzie przyznać im, obok wysokiej, nieraz artystycznej wartości, doskonałą obserwacyę, wyborną charakterystykę osób i całych grup, świetną znajomość „wyższych" sfer towarzyskich, wśród których najchętniej przestawał, umiejętność malowania wszelkich uczuć (byle niezbyt gorących i zbyt wybujałych), wreszcie dowcip niepośledni i satyryczne zacięcie. Konstrukcya jego powieści była prawie zawsze nienaganna, dobrze obmyślana. Tendencya szlachetna. Nie zapomnijmy i o tem, że on pierwszy w powieści przemawiał za zwrotem ku pracy organicznej.

Niema natomiast tak w powieściach, jak i we wszystkich utworach Korzeniowskiego, wybuchu wulkanów, potężnych wstrząśnień, jaskrawych barw, charakterów olbrzymich, górnolotnej fantazyi, wogóle nawet głębokich uczuć, namiętności.

Rzadko bowiem który z pisarzy był w utworach swych tak samym sobą, tak szczerym, jak Korzeniowski. Zrównoważony, religijny, dający przewagę rozumowi nad sercem, zwolennik posłuszeństwa, karności, godzenia się z porządkiem rzeczy, w miarę liberalny, umiarkowany demokrata, nigdy nie przekroczył piórem granic, jakie zachowywał w życiu. Raz jedyny zerwał ze swem umiarkowaniem, raz silnie uderzył w strunę wyższych ideałów w „Karpackich góralach" i dlatego też utwór ten przemówił do serc, stał się jego arcydziełem.

*Kazimierz Bartoszewicz.*

## Z sezonu letniego.



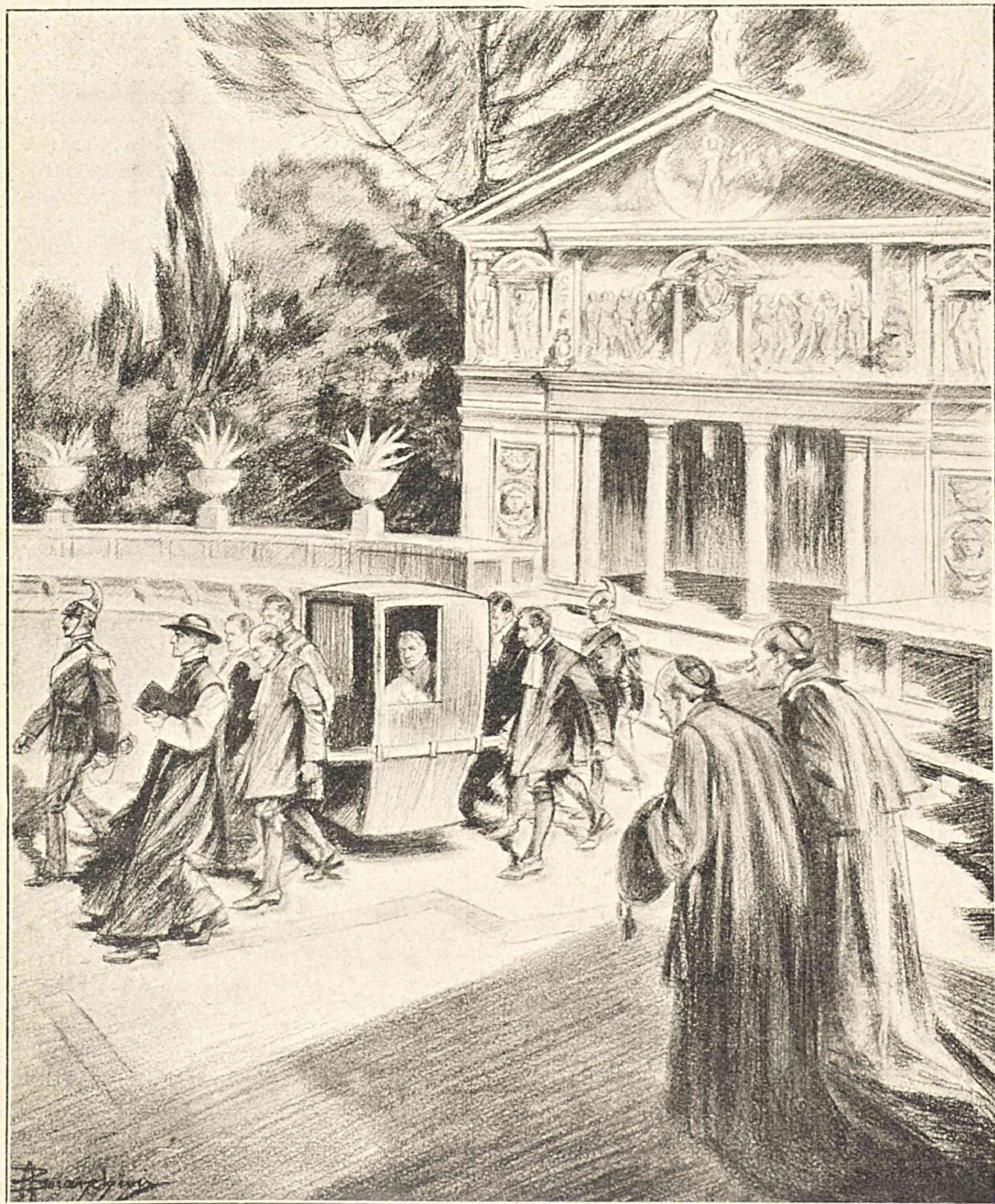
Paweł Kochański, Roman Statkowski i Emil Młynarski na wywczasach letnich w Igłowie nad Niemnem.

## Zjazd katolicki w Lublanie.



Uczestnicy polscy na Zjeździe katolickim w Lublanie, z ks. Władysławem Sapiehą na czele.

## Z życia Papieża Piusa X.



Pius X, codziennie rano po Mszy św. odbywa spacer w lektyce po ogrodach Watykanu.

## Koronacya obrazu w Sulisławicach.

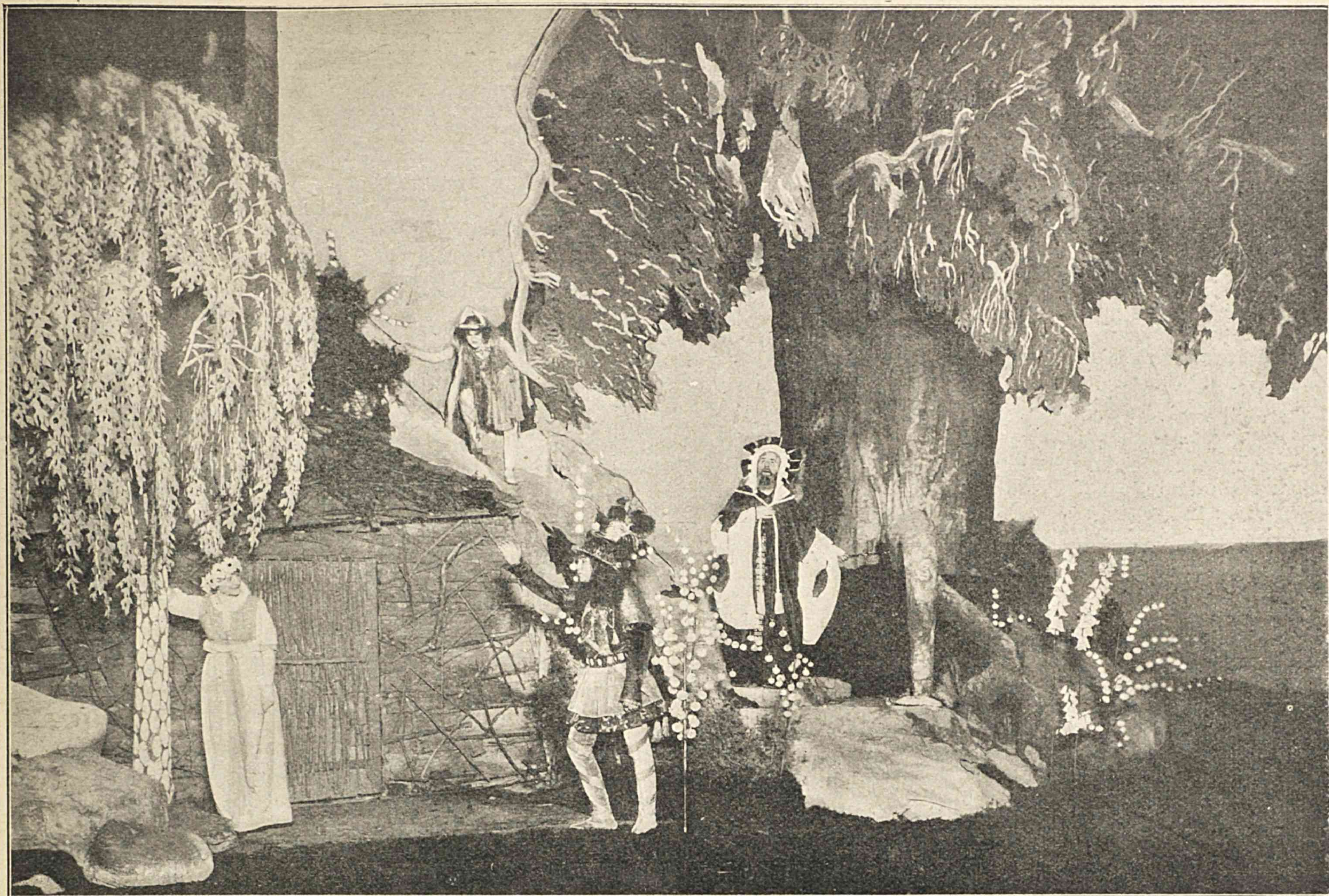



J. E. ks. biskup sandom. Maryan Ryx.

Sulisławice w sandomierskiej ziemi są jakby małą Częstochową dla swej okolicy, posiadają bowiem obraz Matki Bożej, słynący cudami. Pochodzi on z XIV-go wieku, a zarówno styl malowidła, rodzaj farb i podkład drzewny wskazują na wschodnią jego genezę. Przedstawia on Matkę Bożą z Chrystusem. Dekret biskupa krakowskiego, Trębickiego, w 1659 roku ogłosił obraz ten, jako cudami słynący. Od tego czasu jest on celem pielgrzymek ludu krakowskiego. Jakiś czas zaniedbany, od roku 1850 przywrócono mu solenne nabożeństwa, a w 1880 r. przeniesiono go do nowego kościoła.

J. E. ks. biskup Ryx uzyskał od Piusa X koronacyę sulisławickiej Matki Bożej. Termin wyznaczono na dzień 8 września, w którym zawsze odbywają się w kościele tym odpusty. Uroczystość koronacyjna odbyła się z wielką ostentacyą i podniosłością, pod przewodem biskupa sandomierskiego i kapituły, w obecności licznie zgromadzonego obywatelstwa i ludu. Do dziesięciu tysięcy pobożnych asystowało temu aktowi. Pielgrzymki przybyły z Radomia, Kielc i Lublina; Sandomierz wysłał ogromną kompanię.

 Fot. Malarski i Tavrell.



Akt I-szy. Pp. Kozłowska, Tatarkiewiczówna, Wiślański, Szobert.

# Z teatrów warszawskich.

TEATR POLSKI. „Burza", baśń fantastyczna w 5-ciu aktach, Szekspira.

„Burza" figuruje w urzędowym spisie czternastu dramatów różnych autorów, jakie odegrała na dworze londyńskim trupa szekspirowska z okazyi zaślubin córki króla Jakuba, Elżbiety, z elektorem Palatynatu, późniejszym „królem zimowym". Ta okoliczność tłomaczy w pewnej mierze naiwność bajki: już wówczas widocznie możni tego świata unikali zbyt uciążliwych wysiłków umysłowych. Tworząc przygody, towarzyszące zaślubinom Mirandy z synem króla Neapolu, Szekspir był w jesieni życia. Jego poetycka wyobraźnia nie miała już pierworzutnego lotu, nie snuła już przedziwnych snów nocy letniej. Sam się w postaci Prospera przedstawia, jako mąż dojrzały, syty walk i zwątpień, przesiąknięty łagodną rezygnacyą i ustaloną ostatecznie mądrością życiową. Jego fantazya nabiera poniekąd cech intelektualnych.

Niewiele utworów Szekspira posiada równie bogatą literaturę, jak „Burza". Przekleństwem poety za życia bywa zazwyczaj gruboskórność krytyków; po śmierci — natręctwo komentatorów. Czegóż nie próbowało odszukać w tej baśni „szkiełko i oko" mędrców, których nie stać na czucie i wiarę! Odcyfrowano, jakich książek czytaniem zabawiał się twórca w czasie pisania swej baśni. W każdej postaci odnaleziono symbol, głęboko i mozolnie przemyślany. Więc Prospero uosabia myśl ludzką, Aryel — praktyczną, twórczy pierwiastek tej myśli, Miranda — sztukę, Kaliban— instynkty zwierzęce. Przeciwieństwo między Prosperem a Kalibanem, to odwieczna zagadka walki dobrego ze złem. Jeszcze 40 lat temu pewien profesor (D. Wilson) zgoła poważnie dowodził, że Szekspir był pierwszym darwinistą, Kaliban bowiem jest pośredniem ogniwem między małpą a dzikim człowiekiem...

Książętom, dla których „Burza" została napisaną, wystarczała bajka prosta, chwilami poetyczna, to znów rubasznym humorem bawiąca. Uczonym komentatorom — sztuczne dociekania, któreby ich erudycyę w całym blasku zaprezentowały. A dzisiejszej publiczności? Na to pytanie najtrudniej odpowiedzieć. Czy ta publiczność, zachwycająca się „Pannami" Wolffa, a „głucha na czary" poety, jest w możności odczuć melancholię twórcy, któremu w oczach stanęła konieczność „złamania czarnoksięskiej różdżki", rzucenia księgi cudów na dno morza? Prosper—artysta, któryby tego dziwu dokonał, musiałby mieć geniusz Szekspira, zaś wątek całej bajki musiałby być gobelinowem tłem dla uwypuklenia tej jednej postaci. W stubarwnym przepychu realizacyi „Burzy" na scenie teatru Polskiego publiczność widzi tylko bajkę miłą i prostą, dla jej umysłowości nawet coniebądź zbyt prostą, w której przebiegu mądry czarownik staje się teatralnym *Deus ex machina*... Podziwia dekoracye i kostyumy, niewidzianą dotychczas grę świateł, kręconą scenę — śmieje się, gdy niezrównany Zelwerowicz i doskonały w roli Kalibana Jaracz przepijają do siebie kanaryjskiem winem,—i tłumi ziewanie, by jej nie posądzono, że nie ocenia należycie wielkiego poetyckiego repertuaru.

*S. K.*

---

TEATR LETNI. „Romantyczni", komedya w 3-ch aktach E. Rostanda. Przekład Belmonta. (Wznowienie).

Po niespodzianem i przedwczesnem zdjęciu z afisza „Ziemi" wznowienie rozkosznie wdzięcznej tej komedyi odbyło się nader pospiesznie. Skutkiem tego przedstawienie nie wypadło tak, jak mogłoby na warszawskiej scenie wypaść. Mało teatrów europejskich bowiem byłoby w stanie dać równą obsadę sztuce Rostanda: w głównych rolach p. Szyllinżanka i p. Osterwa, w innych: Frenkiel, Rapacki, Wojdałowicz. Widowisko mogło stać się arcydziełem sztuki teatralnej, zbyt mała ilość prób

nie pozwoliła wszakże p. Osterwie opanować całkowicie roli, w scenach zbiorowych brakło niekiedy pewności. W każdym razie, trzeba podziwiać wysiłek artystyczny p. Wostrowskiego, który w ciągu tygodnia nieomal wznowienia dokonał, i stwierdzić raz jeszcze, iż talent p. Szyllinżanki coraz piękniej się rozwija. Oleodrukowo - szablonowa poprawność nowej dekoracyi zniewala do uwagi, iż choć p. Frycz został przez Teatr Polski zmonopolizowany, to jednak w Warszawie mieszka cały szereg artystów, których talent mogłaby Dyrekcya Teatrów Rządowych skutecznie wyzyskać, że wymienię tylko: E. Trojanowskiego, Tichego, Kędzierskiego, Fr. Siedleckiego, Wł. Wankiego, A. Zarzyckiego,—tylu innych pomijając. *sk.*

TEATR MAŁY. „Powaby grzechu", komedya w 3-ch aktach, St. Rey'a. Przekład z francuskiego St. Załuskiej.

Dowcipna, przyjemna, lekka komedya o szaławile kochanym, kochającym a wiecznie zastawiającym nowe sidła, grana już była w Warszawie. Nie przeszkadza to jednak, że i na wznowieniu bawiono się jej treścią doskonale. Dwuznaczne rakiety pobudzały co chwila do śmiechu, a komiczne sytuacye potęgowały humor. Tytułową rolę odegrał z brawurą p. Pawłowski. Świetnie akompaniowała mu p. Arkawin. Pozostałe role znalazły też sumiennych wykonawców w p. Herburtównie, Dunikowskiej, Wojciechowskiej, oraz p. Rydzewskim. Wystawa, pomysłu p. Nirnsteina, była bardzo staranna. *E. C.*

## Teatr Nowy we Lwowie.

Sprawa teatrów ludowych we Lwowie i w Krakowie, wielokrotnie i oddawna omawiana w prasie, ciągle jeszcze nie może się doczekać należytego rozwiązania. Próby zaradzenia tej palącej potrzebie, której zaspokojenie należy przedewszystkiem do Rad gminnych obu stolic Galicyi, podejmują wciąż na własną rękę aktorzy i wciąż te próby potykają się o brak odpowiednich, przestronnych, umyślnie w tym celu wzniesionych gmachów. W Krakowie ciągną się one niemal od lat dziesięciu, od pierwszej, dwuletniej, próby St. Knake-Zawadzkiego, do ostatniej, podjętej przez Edmunda Rygiera. Całe doświadczenie, umiejętność i zapał Rygiera poszły i tym razem na marne, wobec śmiertelnego ciosu, jaki imprezie zadał — cyrk, usadowiony przez gminę krakowską tuż naprzeciw jedynego, prowizorycznego zresztą, budynku teatralnego. Uchodząc przed groźnym współzawodnikiem, zlikwidował Rygier krakowską ludową Melpomenę i przeniósł się ze swą trupą do gościnniejszego Lwowa, który posiada niewielką, lecz piękną salę teatralną w niedawno zbudowanym Domu katolickim w robotniczej dzielnicy, przy ul. Gródeckiej. Tu towarzystwo dramatyczne Rygiera usadowiło się obecnie na stałe, przyjmując nazwę „Teatru Nowego". Tak więc zyskał Lwów scenę popularną, tak gwałtownie mu potrzebną, pod wytrawnem kierownictwem, z dobrze dobranym personelem, z szlachetnie i wysoko mierzonemi aspiracyami. Niemniej, o istotnie stałym teatrze ludowym będzie tu można mówić dopiero wtedy, gdy zarząd miasta zdecyduje się wziąć tę sprawę w swoje ręce i wznieść — umyślny budynek.



Edmund Rygier.



Artyści teatru Nowego we Lwowie z dyrektorem Edmundem Rygierem pośrodku.

Rygier pragnie oprzeć swój repertuar głównie na sztukach oryginalnych, dla których Teatr Miejski, w którym gospodaruje p. Heller, przeważnie jest zamknięty. Być może zatem, iż dzięki inicyatywie p. Rygiera, Lwów będzie miał możność zapoznania się z twórczością oryginalną ostatniej doby, — gdy Rada miejska popiera głównie wiedeńską operetkę.

*Lwów.* *Jast.*

## Z teatru lubelskiego.

Na scenie teatru lubelskiego, który od września b. r. znajduje się pod kierunkiem dyrektora Lelewicza, występuje wśród powszechnego zainteresowania nowa siła dramatyczna w osobie panny Edmundy Urbańskiej ze Lwowa. Młoda artystka, wyposażona doskonałemi warunkami scenicznemi, sięga odrazu po „wielkie role": Fenixany w „Księciu Niezłomnym", Salomei w „Śnie srebrnym", Pani w „Liliach" Morstina. Panna Urbańska jest córką nieżyjącego już znakomitego poety i pieśniarza roku 1863, Aurelego Urbańskiego, autora znanych jednoaktówek „Pod kolumną Zygmunta" i „Dramat jednej nocy".



E. Urbańska.



# Jak walczy Król. Polskie z pożarem.

## Po konkursie Straży Ogniowych Ochotniczych w Łowiczu.

Społeczeństwo każde musi z konieczności dbać o ochronę dobytku materyalnego, stanowiącego podstawę bytu. Im dorobek materyalny jest większy, im poczucie obowiązków społecznych sięga dalej i głębiej w warstwy narodu, tem ochrona ta staje się więcej sprawną i więcej celu świadomą. Nie może więc być mowy wogóle o *kulturze* tam, gdzie nie istnieje ochrona tego, co jest treścią tej kultury. Taką ochroną jest niezawodnie zorganizowane należycie pożarnictwo. Skutkiem ciężkich warunków naszego bytu, zamykających drogę do innych dziedzin pracy kulturalnej, pociągnęło ono ku sobie na prowincyi jednostki uświadomione społecznie; powstały placówki wdzięcznej, duchem obywatelskim ożywionej pracy publicznej. Kraj nasz posiada niemal wyłącznie *ochotnicze* straże ogniowe, których szeregi rekrutują się z dzielnych jednostek, zaprawionych do niesienia pomocy skutecznej bliźnim, zarządy zaś składają się z wybitniejszych przedstawicieli inteligencyi miejscowej. Mimo wszystko jednak, kraj nasz, mając 3 i pół miliona budynków, z których $^{9}/_{10}$ posiada dachy łatwopalne, ulega ustawicznie pożarom zbiorowym, trawiącym częstokroć doszczętnie całe wsie i osady. Dane statystyczne malują obraz tej klęski w świetle nader naturalnem, ogólna bowiem ilość szkód, wyrządzanych krajowi corocznie, wynosi olbrzymią sumę 10.000.000 rubli. Straże ochotnicze, chociaż dość liczne, bo sięgające liczby 500 z kilkudziesięciu tysiącami członków, pełnią służbę publiczną gorliwie, lecz mogą jedynie w pewnej mierze wpłynąć na zmniejszenie rozmiarów tych klęsk, jakie powodują pożary po wsiach i miasteczkach. Porównanie z krajami innemi wypada, niestety, rażąco na niekorzyść naszą. Takie naprzykład Królestwo Saskie, obszarem swym nie większe od gubernii warszawskiej, posiada jednak 926 straży ogniowych, gub. zaś warszawska ma ich zaledwie niespełna 100. W kraju naszym jedna

# Konkurs Straży Ogniowych Ochotniczych z Król. Polskiego w Łowiczu w dniu 7 września.



Główni organizatorowie, pp. A. Trawiński *(naczelnik)*, dr. St. Stanisławski *(prezes)*, E. Balzer *(pom. naczeln.)*



Delegaci i starszyzna Straży Ogniowych.



Skok na płótno.

*Zdjęcia specyalnego delegata „Świata", p. Maryana Fuksa.*

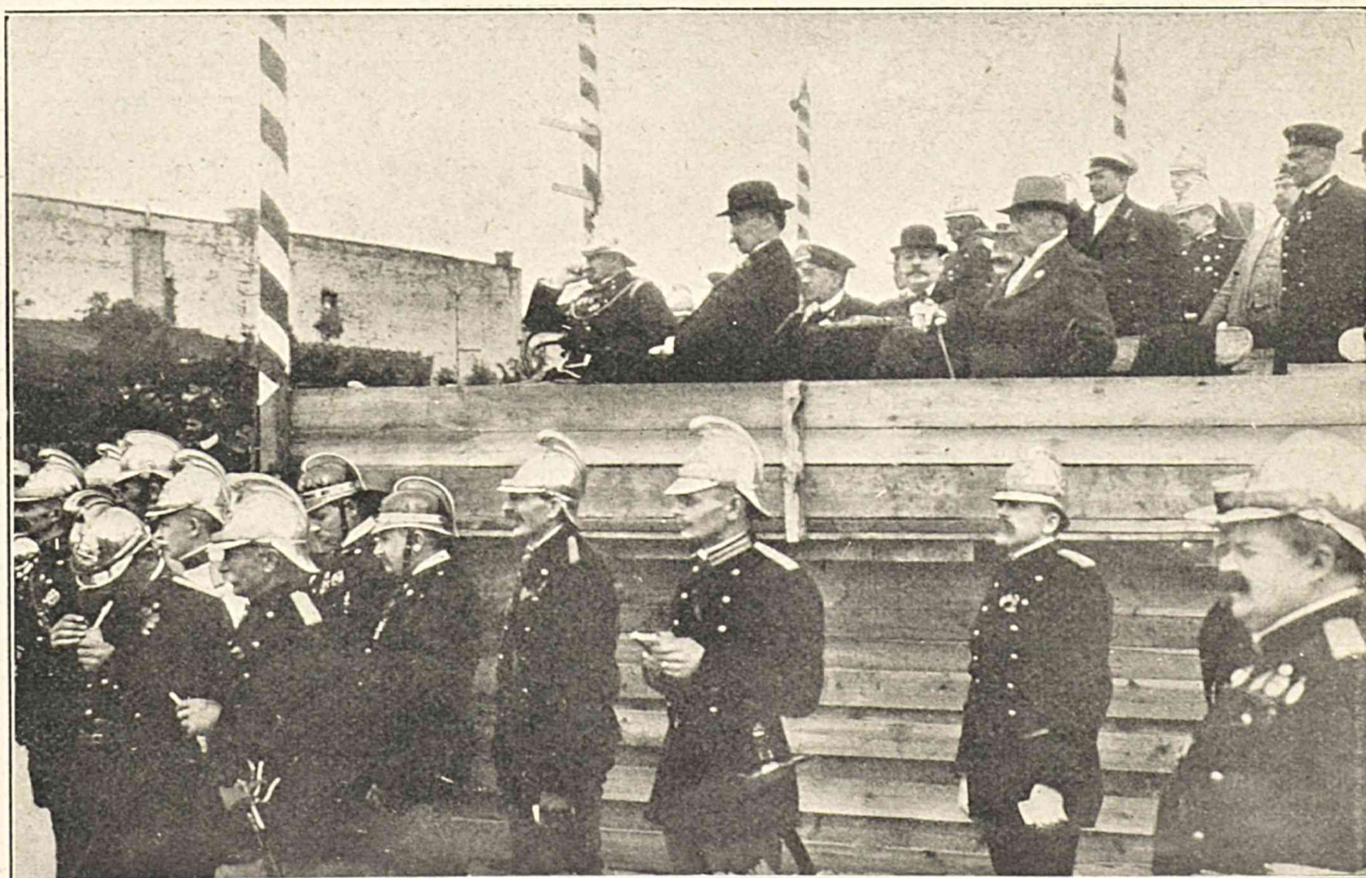


Ćwiczenia na linie.

straż ogniowa przypada na 280 wiorst kwadrat. i obsługuje 26.810 mieszkańców w 7800 budynkach, w Saksonii zaś jedna straż przypada na 16 wiorst kw. i 5000 mieszkańców.

Kraj nasz więc ma przed sobą w tym zakresie jeszcze wiele do zrobienia w latach najbliższych, zwłaszcza, gdy zważymy, że w okresie 1907 — 1910 r. zanotowano pożarów zbiorowych przeszło 244, przyczem na jeden pożar taki przypadało przeciętnie 130 budynków spalonych, oraz przeszło 34.000 rubli szkód. Nadmieniamy tu dla ścisłości, że ogólna liczba wszystkich pożarów, jakie nawiedzają Królestwo, wynosi przeciętnie na rok prawie 5.000.

Ostatniemi czasy zaniechano w kraju odkładania wielu pilnych spraw aż do chwili wprowadzenia samorządu i zabrano się gorliwie do pracy przedwstępnej. Ruch kulturalny, który ogarnął kółka rolnicze, stacye doświadczalne, ruch współdzielczy i cały szereg innych przejawów energii społecznej odbił się również ożywczo i na podniesieniu zaniedbanej dotychczas sprawy pożarnictwa krajowego. Pierwszy impuls w tym kierunku dała straż często-



Sędziowie konkursu popisów strażackich.

chowska, przez urządzenie konkursu zastępów strażackich w czasie wystawy częstochowskiej, który wypadł pomyślnie i zachęcająco dla dalszych kroków. Przed rokiem w tejże Częstochowie odbył się drugi konkurs drużyn strażackich, w roku zaś bieżącym kursy pożarnicze, pierwsze w kraju, które zainteresowały nawet odległe straże i ściągnęły przeszło 140 słuchaczy. Wreszcie odbyły się na mniejszą skalę popisy straży na terenach wystaw w Milanówku, Piotrkowie i Sierpcu, budząc wszędzie duże zainteresowanie i przyciągając tysiące widzów.

Obecnie odbył się w dn. 7—8 września nader liczny zjazd w Łowiczu, połączony z ćwiczeniami konkursowemi 23 drużyn strażackich. Zjazd ten odbył się w wyjątkowo korzystnych warunkach, bo przy udziale 600 delegatów, reprezentujących przeszło 4.000 członków straży poszczególnych.

W pierwszym dniu zjazdu stanęły do popisu drużyny współzawodniczące, wśród których malowniczo wyróżniały się zastępy włościan-księżaków, w barwnych strojach, z kaskami na głowach. Drugi dzień zjazdu poświęcono rozprawom teoretycznym i referatom, wśród których należy wyróżnić referat redaktora *„Przeglądu Pożarniczego"*, p. Bolesława Chomicza, na temat „Pożarnictwo krajowe, jego rozwój i zadania przyszłe", oraz referat instruktora przy Centr. Tow. Rolniczem do spraw pożarnictwa, p. inż. I. Tuliszkowskiego, „o potrzebie stworzenia kooperatywy krajowej dla obsłużenia potrzeb naszych straży ochotniczych. Pożarnictwo krajowe, dzięki konkursom i odczytom, jak również dzięki wychodzącemu od nowego roku fachowemu pismu, „Przegląd Pożarniczy", pod red. p. Chomicza, oraz dzięki szeregowi wybitniejszych jednostek, oddanych sprawom pożarnictwa, wśród których wymienić należy pp. E. Brühla, Geislera, I. Kona, inż. Kosteckiego, Mrowińskiego, d-ra Stanisławskiego i inż. J. Tuliszkowskiego, zyskało poważną rękojmię pomyślnego rozwoju w przyszłości najbliższej.

*b. c.*



## Poświęcenie cmentarza.



W Baranowie (gub. warszawska) w dniu 24 sierpnia poświęcony został cmentarz przez J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza.

## Małżeństwo ex-króla Portugalii.



Manuel, ex-król portugalski, zaślubił księżniczkę Augustę Hohenzollern, dnia 4 b. m. w Sigmaringen.

## Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

### SPRAWY POLITYCZNE.

*Ankieta międzynarodowa,* sumptem Carnegiego, mająca sprawdzić okropności bałkańskie, nie udała się ostatecznie; pozostało tylko w świecie ogólne wrażenie, że z sześciu narodów bałkańskich — jeden wart drugiego...

*Delegacya albańska* składa podziękowania Berchtoldowi w Wiedniu i Avernie w Rzymie.

*Tymczasem* rozpoczęła się ruchawka śród albańczyków, pozostawionych Serbii i Grecyi...

*Dwie inne delegacye* podróżują po Europie: macedońska, domagająca się niezależności lub choćby autonomii i turecka, domagająca się zostawienia Adryanopola Turcyi. Pierwsza doznaje zimnego, druga przychylnego przyjęcia.

*W Nankinie* wysadzono oddział wojska japońskiego. Czy to jest początek interwencyi japońskiej w sprawach chińskich?

*Układy* między bułgarami i turkami pozostawią tym ostatnim Adryanopol i Kirk-Kilissę; ma za to zapłacić — Grecya.

### Z NAD NEWY.

*Postanowiono znieść ochronę wzmocnioną,* między innemi w gub. warszawskiej i siedleckiej.

*Naczelnik policyi politycznej,* gen. Gerasimow, otrzymał zwolnienie z obowiązków. Praktykował szeroko zasadę: cel uświęca środki.

*Zjazd matematyków* ubezpieczeniowych w Petersburgu, międzynarodowy, zwołano na listopad.

*Zjazd nauczycieli* fizyki, chemii i kosmografii w Petersburgu odbędzie się w styczniu.

*Nadzór* pilniejszy postanowiono zorganizować nad instytucyami kredytu, wobec całego szeregu krachów w roku bieżącym.

### SPRAWY POLSKIE.

*W Krakowie* odbywają się przygotowania do wielce uroczystego obchodu jubileuszu śmierci bohaterskiej ks. Józefa Poniatowskiego.

*Zniesiono cło* na książki, przywożone do Stanów Zjednoczonych. Bardzo pomyślna wiadomość dla stosunków polskich wychodźców z krajem rodzinnym.

*Niesprawdzona pogłoska* rozeszła się w pismach, że w przyszłorocznym budżecie pruskim nie będą wstawione nowe antypolskie fundusze.

*Dom noclegowy* z kąpielami dla ludu za 250 tys. rb. powstanie w Częstochowie, dzięki ofiarnej hojności pani E. Kierbedziowej.

### LITERATURA I SZTUKA

*Revue de Pologne* wychodzić zacznie w Paryżu od Nowego Roku, w celu informowania świata o polskiem życiu.

*Lektorem Warszawskiego Teatru Rządowego* został p. Adam Grzymała-Siedlecki z pensyą 4.000 rb.

*W Mokotowie pod Warszawą* ma powstać teatr, który, jako za rogatkami miasta, nie będzie płacił teatrom rządowym zabijającej *części szóstej.*

*Teatr w Kielcach* dawać będzie przedstawienia pod kierunkiem p. H. Czarneckiego. Rodzaj — „Miniatury".

### WYSTAWY.

*Szereg wystaw* funkcyonuje w Królestwie: „Królestwo Mody" w Warszawie, Rolniczo-przemysłowa w Częstochowie. W przygotowaniu: „Ruch, światło i ciepło" i Sztuki Scenicznej.

### RÓŻNE.

*Sześć Instytutów Pedagogicznych* powstanie w Państwie Rosyjskiem, z tych jeden w Królestwie Polskiem, w Siedlcach.

*Międzynarodowy Kongres spółdzielczy* w Glasgowie polecił tworzenie związków. Władze rosyjskie nie są temu przychylne.

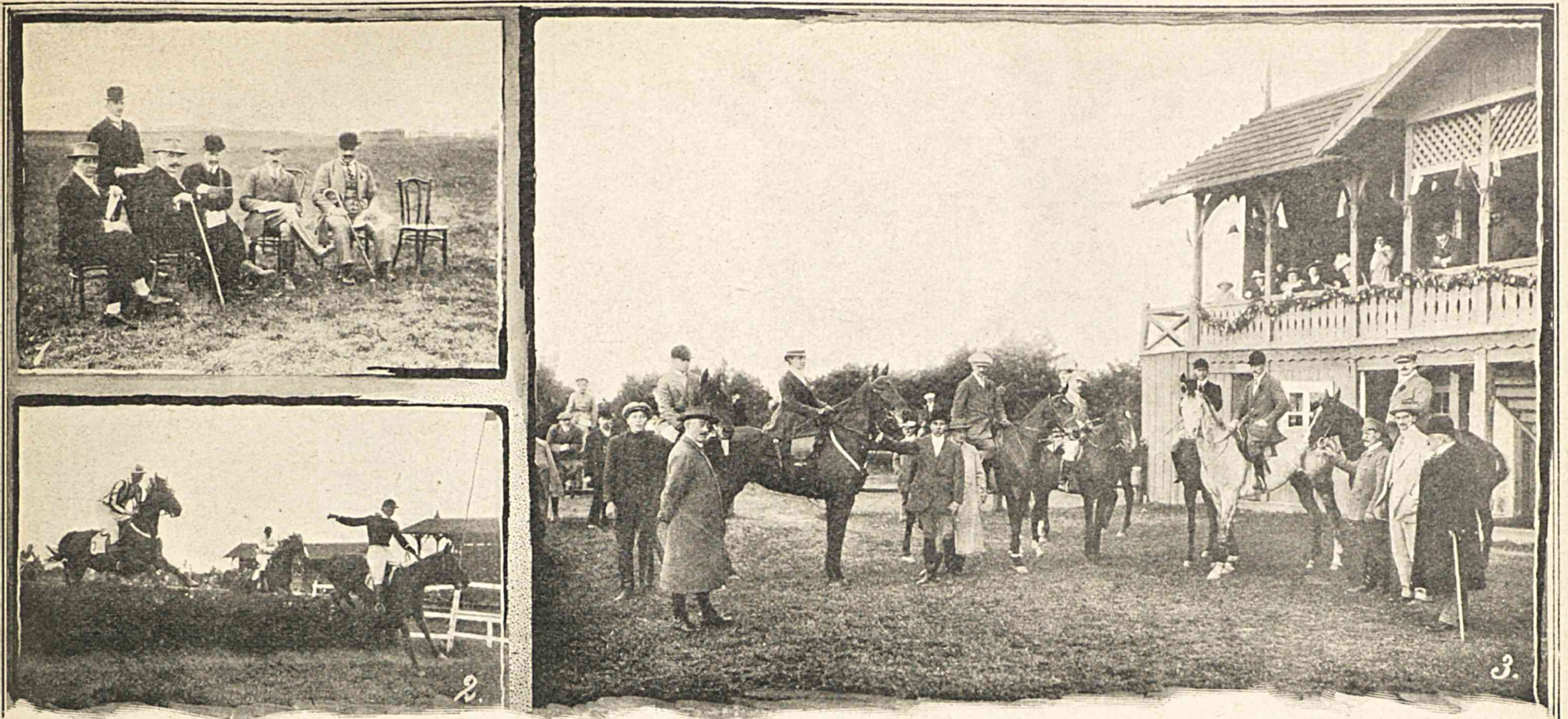
*Patryarcha serbski* Leon Bogdanowicz, znikł bez śladu. Samobójstwo? Morderstwo?

*Szczątki mamuta* wraz z bogatemi okazami skamieniałej flory i fauny wykopano przy rogatce we Lwowie.

*Pomnik* poległych w 1812 roku francuzów pod Borodinem odsłonięto w Moskwie.

## Wyścigi w Piotrkowie.

*Fot. Saryusz Wolski.*



1 Grupa sędziów konkursu hippicznego: M. hr. Dębski, A. St. Potocki, B. Peretiatkowicz, Fr. Wężyk i St Młodecki. *Stoi sekretarz Tow.* p. S. Tingle. 2. *Steeple chase* im. M. Gruszeckiego. Na przeszkodzie: L. ks. Sapieha i J. Bronikowski. 3. Bieg myśliwski za *mastrem*. Na koniach: M. Piotrowski, Henrykowa hr. Potocka, K. hr. Skarbek *(master)*, E. Kurnatowski, Klimowicz, J. Bronikowski i Saryusz Bielski.

## Międzynarodowe wyścigi cyklistów na Dynasach w d. 7 i 8 września.

*Fot. Maryana Fuksa.*



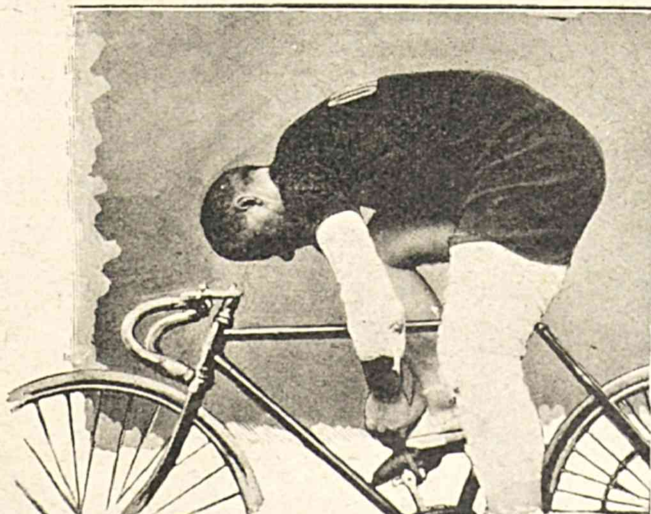
Jeżdżcy pierwszej klasy W.T.C. Nowicki (Kijów), J. Jastrzębski, J. Szymczyk, F. Szymczyk, J. Kusiakowski, J. Grochowski, A. Jeanneret, W. Kwieciński, L. Kamiński, „Jax", M. Jabrzemski, W. Kłopotowski, St. Drogowski, J. Kłopotowski.



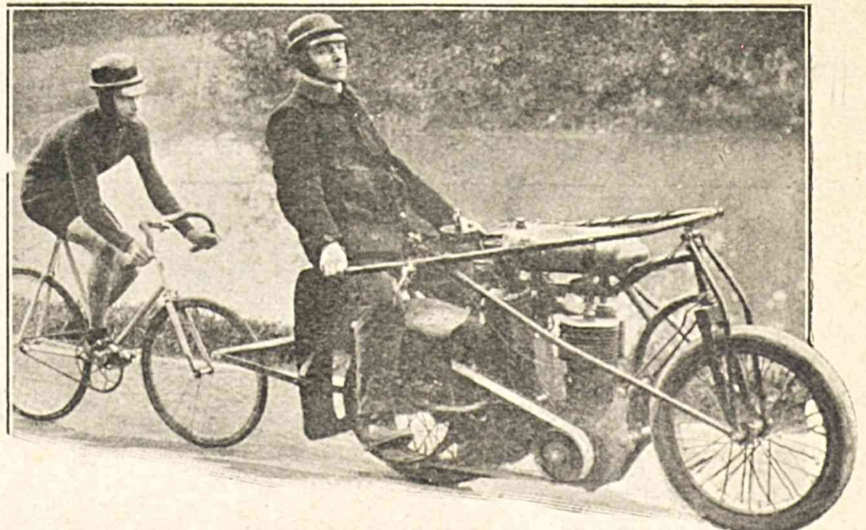

Mistrzowie zagraniczni: pp. Willy Bader (Alzacya), Tom Germain (Ameryka), Karol Rudel (Bawarya), Woody Hedspath (Kongo), Emil Friol (Paryż), Emanuel Kudela (Czechy), Thormanns *leader* (Hamburg).



Kamiński i Woody Hedspath (Kongo).



P. Tkaczyk w pierwszym dniu wyścigów pobił mistrzów zagranicznych, pomimo wypadku, jakiemu uległ.



L. Kamiński i Weiss na rowerze firmy „Sport".

Poświęcenie nowego gmachu szkolnego im. E. Konopczyńskiego. *(Według planów architekta, p. Stanisława Portnera.*



Komisya budowlana: pp. mec. J. Szteyner, J. Juraszyński (inspekt. szkoły), St. Konopczyński, J. Ostrowski, M. Rowiński (dyrektor), Henrykowa Kleinadel, L. Pilaski, Stan. Portner, Kaźmierz Puciata.



Obserwatoryum astronomiczne szkoły im. E. Konopczyńskiego.
*Fot. Maryana Fuksa.*

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu P. Piotrowskiemu, Łódź.* Istotnie, powinno być, zamiast p. Władysław Wagner — p. Henryk Schüsler, co niniejszem prostujemy.

*Panu M. Piaseckiemu.* Wiersz Pański p. t. „Rokosz" nie może być u nas zamieszczony.

*Panu Józefowi Drzazdze.* „Nieszczęście" nie nadaje się do druku.

*Panu „Ciekawemu".* „Powiedz tak albo nie" jest rysunkiem amerykańskim. Antykwarnia mieści się przy ulicy Włodzimierskiej.

*Elerowa.* „Pieśń harfy" nie nadaje się do pisma naszego. Świadczy jednak o dużem poczuciu językowem.

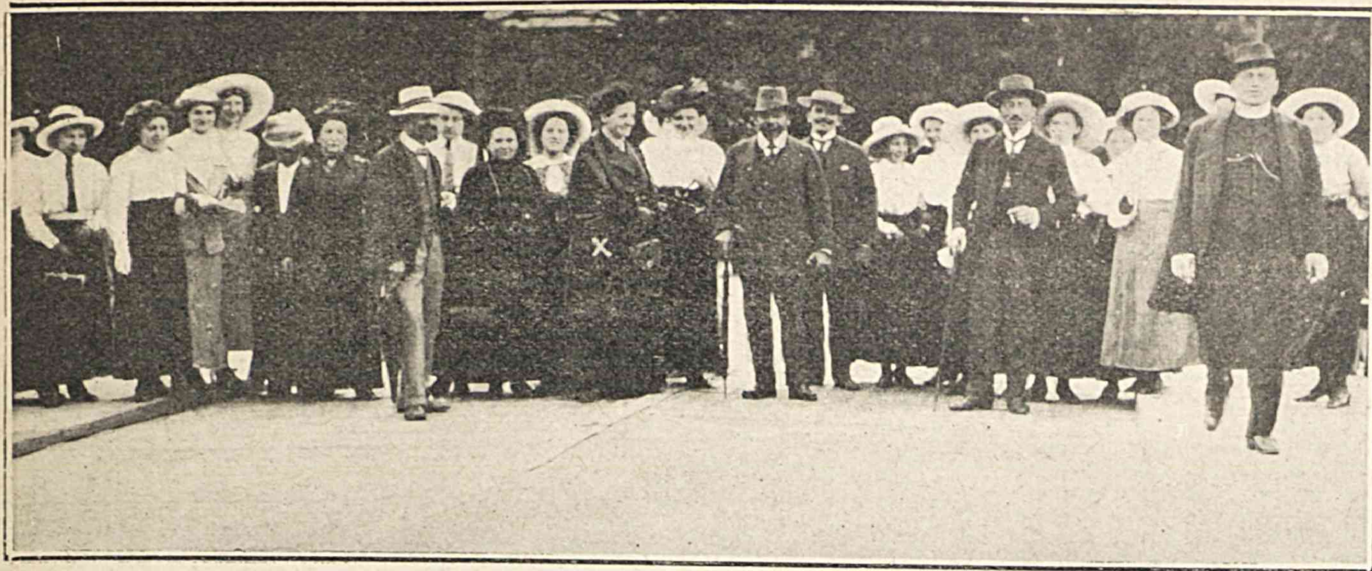
*Panu L. Zajączkowskiemu w Majdanie.* List pański przesłaliśmy p. Kłyszewskiemu, sekretarzowi Wystawy w domu Baryczków.

## Dramat małżeński.



Roman Pisarski, właściciel zakładu fryzyerskiego, w przystępie ataku nerwowego strzelił kilkakrotnie do żony swej, Janiny. Stan ranionej bardzo poważny.

## Szkoła gospodarcza hr. Zamoyskiej w Pradze Czeskiej.



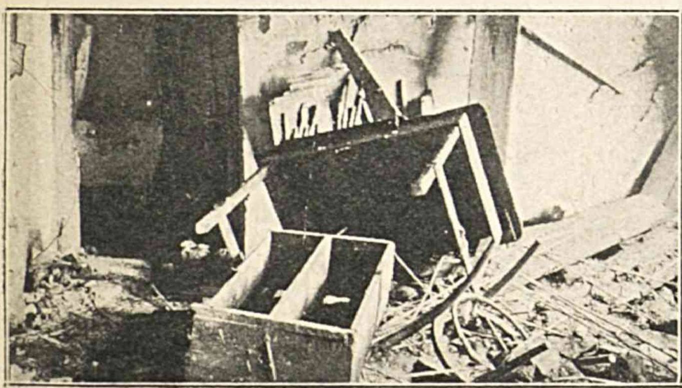
Jadwiga hr. Zamoyska założyła w Zakopanem szkołę gosdodarczą dla dziewcząt. Ze szkołą tą bawiła hr. Zamoyska przez 3 dni (od 25—28 sierpnia) w Pradze, by zobaczyć, co czesi zdziałali na polu przemysłu, handlu, rolnictwa i gospodarstwa domowego. Szkoła hr. Zamoyskiej była przyjmowana w Pradze życzliwie i gościnnie.

## Zjazd leśników we Lwowie.



Grupa leśników, z prezesem Januszem hr. Tyszkiewiczem na czele.

## Katastrofa w pracowni pyrotechnicznej.



W pracowni pyrotechnika lwowskiego, P. Rutkowskiego, wydarzył się w ostatnim tygodniu wybuch przygotowywanej „fontanny świetlnej". Wskutek wybuchu zapaliło się również wiele innych gotowych już ogni sztucznych, powodując w następstwie groźny pożar całego domu. Po ugaszeniu ognia wydobyto z pod gruzów zdemolowanej pracowni trzy ofiary. P. Rutkowski i jeden z pomocników odnieśli straszliwe poparzenia, drugi pomocnik zginął na miejscu.

---

## Jubileusz pracy obywatelskiej.

Dwudziestopięciolecie obywatelskiej i zawodowej pracy obchodził w Zabłociu koło Żywca magister farmacyi, p. Stanisław Szczepański, jeden z najczynniejszych działaczy społecznych tego pięknego zakątka Galicyi. Na polu aptekarstwa zaznaczył się p. Szczepański udoskonaleniem i ułatwieniem wielu prac laboratoryjnych, udziałem we wszystkich ważniejszych zebraniach zawodowych i ankietach, oraz stałem współpracownictwem w zawodowem piśmie „Kronika farmaceutyczna". Styczność swą z miejscowym ludem góralskim wyzyskał dla wytrwałych zabiegów około podniesienia oświatowego i gospodarczego jego poziomu przez kółka rolnicze, kasy pożyczkowe, czytelnie i biblioteki, około których położył duże zasługi. Równocześnie bierze udział wybitny w pracach Polskiego Stronnictwa Ludowego, w którego Radzie naczelnej zasiada i w którem od szeregu lat spełnia obowiązki skarbnika. Jest obok tego członkiem Rady powiatowej z wyboru ludności włościańskiej, prezesem żywieckiej Kasy chorych, zasiada w Radzie nadzorczej Towarzystwa rolniczego, w powiatowym zarządzie Kółek rolniczych, w wydziale Tow. Szkoły Ludowej, poświęcając tej wielostronnej pracy publicznej swój wszystek czas wolny, wkładając w nią zapał, energię, rzutkość i doświadczenie długoletnie.



Stanisław Szczepański.

*Żywiec.* *M. G.*

---

# Humor i Satyra.

## Z ubiegłego miesiąca.

Skończył się sierpień—a razem z nim
I wczasów mężowskich dzionki,
Rodzinnych ognisk rozniecić dym
Wracają spiesznie małżonki.
W lasach, nad morzem, albo wśród gór.
Snuły przyjemnie flirt złoty,
A mąż się w gronie wesołych cór
Pocieszał w mieście z tęsknoty.

Flirt pono wszędzie zawzięty kwitł
Pośród zielonej murawy,
Szczególniej Urle weszły na szczyt
Tej tak rozkosznej zabawy.
Dziś, gdy się skończył ów błogi stan,
Co serca wszelkie rozrzewnia,
O swej wierności pani i pan
Każde się wzajem zapewnia.

Odtąd znów zgodnie do lata tkwić
Będzie mąż przy swej niewieście,
Bo się już szara żywota nić
Zwolna zaczyna snuć w mieście.
Słońce pogodniej, niż w lecie, lśni,
Patrząc na ludzkie mozoły,
Jako zwiastuny jesiennych dni,
Powstają... muzyczne szkoły.

W Europie cisza, znikł okres burz
I pokój stoi, jak skała,
Na Turcyę nikt dziś nie krzyczy już,
By Adryanopol oddała.
Bułgar się leczy ze swoich bied,
Patrząc się z miną stroskaną,
Niedosyć, że mu stłuczono grzbiet,
Jeszcze mu spodnie zabrano.

Wart pono był tam pałaca Pac,
Ten w czapie, tego, co w fezie,
Wszyscy wśród wojny ognistych rac
Robili mordy i rzezie.
Jakgdyby z sobą na konkurs szli,
Mordercze wzniecając chryje,
Kto więcej spali bezbronnych wsi,
Kto więcej ludzi wybije.

Wielotysięczny padł ludzi huf
W haniebnym i krwawym boju,
Gdy właśnie w Hadze, wśród szumnych mów,
Otwarto pałac pokoju.
Choć pacyfistów cieszy się ród,
Lecz niech ich radość umilka,
By pokój nastał, należy wprzód
Z człowieka wypędzić wilka.

W zamku poznańskim stawiał w tych dniach
Wilhelm-Podróżnik swe stopy,
Który się w swego marzenia snach
Widzi już panem Europy.
Choć prusak, w świecie wodzący rej,
Jest to dla świata przekleństwo,
On w mowach pruskiej kultury swej
Uwielbiał błogosławieństwo.

Nad sceną powiał dziś nowy duch:
Przyjechał z Krakowa Solski
I ma w „Rządowych" wytwarzać ruch,
(Impuls tu „Teatr" dał „Polski")
Może nie będzie więc nadal już
Intryg, sprostowań i sporów
I reżyserski raz zacznie nóż
Szanować pracę autorów.

Przestanie też się w teatrach lać
Sztuk zagranicznych esencya,
Bo je zabrania bezpłatnie brać
Dziś literacka konwencya.
Może się przeto wśród naszych niw
Nowy Bliziński wytworzy—
Napisać sztukę nie żaden dziw,
Bierzcie się do pióra, autorzy.

*Krogulec.*



Wystawa „Królestwo mody" w gmachu panoramy przy ul. Karowej. Fot. „Świteź".




Ogólny widok wystawy.

# ŻAŁOBNA KARTA.

## Ś. p. Wincentyna z Kierskich Małecka,



żona nestora uczonych polskich, Antoniego Małeckiego, zmarła dnia 30 sierpnia w 85 roku życia. Przed 10 laty obchodziła jubileusz złotych godów.

## Ś. p. Jerzy Cwietkowskij.

Śmierć ś. p. Cwietkowskiego znalazła w polskiem społeczeństwie żywy oddźwięk. Pedagog ten przybył do kraju naszego w roku 1906, gdy Zgromadzenie Kupców ufundowało szkołę handlową i zamierzyło postawić ją na stopniu wzorowości. Oglądano się wtedy za człowiekiem odpowiednim na stanowisko i zdołano szczęśliwie skłonić ministra handlu do mianowania na nie upatrzonego męża. Sprowadzony w ten sposób do naszego kraju Jerzy Cwietkowskij odpowiedział w najwyższej mierze zaufaniem, jakie w nim położyli właściciele szkoły. Okazał się pedagogiem poważnym i z miłością odnoszący się do swych trudnych i odpowiedzialnych obowiązków. W szkole zapanowała odrazu atmosfera czysta. Żaden powiew stronniczości nie kaził powietrza, którem oddychały pokolenia młode i formujące się do życia, trudnego zwykle, jeżeli nie zawsze ciężkiego. Nasi kupcy odpowiedzieli na taką działalność Cwietkowskiego szczerym szacunkiem, nasza młodzież zaufaniem, a nawet przywiązaniem. Kiedy po latach kilku pracy śród nas Cwietkowskij opuścił Warszawę, towarzyszył mu ogólny żal. Pisma nasze pożegnały go słowami, pełnemi serdeczności, a nasz „Świat" przyłączył się do tych głosów.

Jeden ze znajomych naszych, który wielokrotnie posiadał ze Cwietkowskim relacye, tak nam scharakteryzował tego zacnego człowieka:

— Cwietkowskij był rosyaninem i podczas zbyt krótkiego między nami pobytu, nie uległ w najmniejszym stopniu temu, co pisma nacyonalistyczne nazywają ze złośliwością, *opolaczeniu.* Nie miał też do nas jakiejś szczególnej sympatyi, jako do polaków, tembardziej, jako do słowian. Dobry sosunek jego do naszego społeczeństwa i do szkoły, którą kierował, płynął z najczystszych źródeł ogólnoludzkich uczuć, jak sprawiedliwość przedewszystkiem. Humanitaryzm Cwietkowskiego nie był ani abstrakcyą, która rozwiewałaby się przed rzeczywistością, ani tem wązkiem pojęciem rosyjskich radykałów, którzy tylko swoje poglądy uważają za prawdziwe, a więc innych nie uznają i nie szanują. Cwietkowskij był typowym liberałem w dobrem i szerokiem tego słowa znaczeniu, — a więc dalekim od Milukowa i Rodiczewa. Zresztą był to *uczciwy pedagog.* — i w tem, jak mniemam, zawiera się najgłębsza jego charakterystyka. W uczniu widział on istotę ludzką, w której należy rozwijać wszystko, co jest godnem, i w którą niewolno wsączyć nic nizkiego i podłego. Nacyonalizm, polityкowanie — były mu pojęciami obcemi. Rozwiązał on doskonale zadanie: rosyanina na urzędzie w Polsce. Co więcej, pokazał, że to zadanie należy do elementarnych i rozwiązuje się z niezmierną prostotą i łatwością.

## Ś. p. Gustaw Bartz

W dniu 26 sierpnia r. b. zmarł długoletni współpracownik Biura Budowy Telefonów, ś. p. Gustaw Bartz. Zmarły, przez przeciąg 11 letniej sumiennej swej pracy, dzięki dobroci swej, potrafił zdobyć sobie nietylko pełne zaufanie i szacunek zarządu, lecz również miłość i uznanie kolegów, pracowników i przyjaciół. Najlepszym wyrazem tego szacunku i miłości był tłumny udział towarzyszów pracy i znajomych przyjmujących udział w ostatniej posłudze.



